DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 46 (471)
12 listopada 1989 r.
Cena 150 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

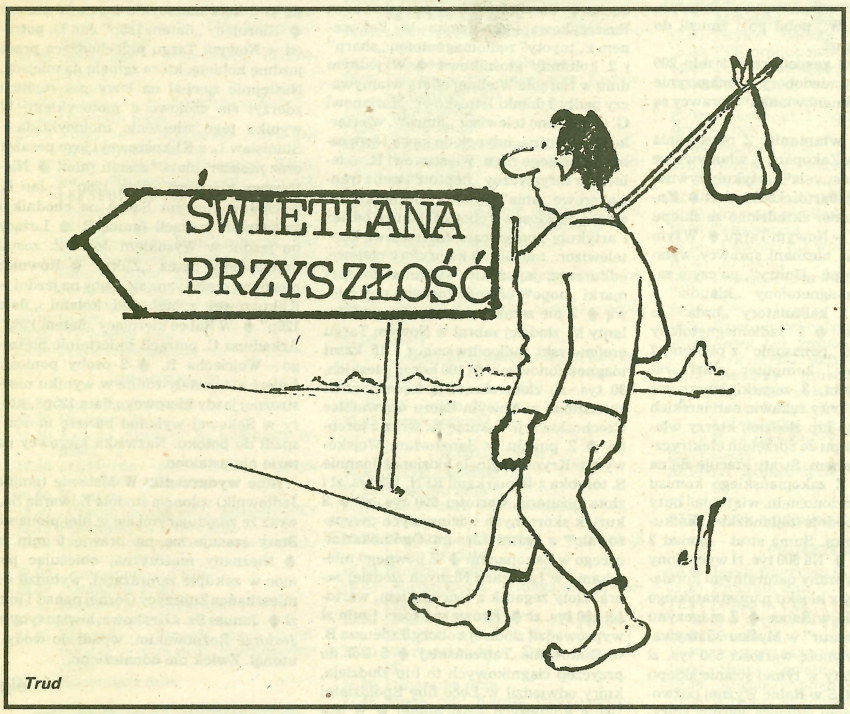

Trud

Cyprian Kamil Norwid

Za kulisami

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Gorejąc, nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...

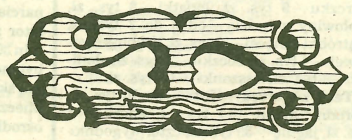

Trzydzieści pięć osób uczęszczających do baru mlecznego przy ul. Manifestu Lipcowego podpisało się pod prośbą o interwencję mającą skłonić nowotarską PPS „Społem" do utrzymania zagrożonego ponoć w swoim bycie baru. Jest on rzeczywiście jedną z niewielu na terenie miasta i jedną z raptem dwóch w okolicy rynku placówek taniego żywienia.

Zaniepokojonych ludzi z pewnością nie usatysfakcjonuje tłumaczenie, że w instytucjach zmierzających ku samorządności i autonomii trudno dziś skutecznie interweniować. Nie pożywią się oni także argumentem, że instytucje owe podlegają własnym ograniczeniom i coraz trudniej utrzymać im swój stan posiadania (czy raczej stan dysponowania) w zmienionych warunkach ekonomiczno-prawnych.

Protest trzydziestu pięciu osób jest jednak znakiem czasu i symptomem zjawiska, które pewnie będzie się rozszerzać przez najbliższe miesiące. Z jednej strony — znikanie w naszym pejzażu placówek taniego żywienia w chwili, gdy stają się one coraz bardziej potrzebne, a z drugiej — instynktowny opór wielu ludzi przeciwko statusowi „żebraka" z talonem żywnościowym czy bloczkiem w kieszeni. Chyba nie wcześniej niż w przyszłym roku okaże się, czy gospodarcze żywioły zdołają wyłonić taki system wspomagania najbiedniejszych, by nie urażał niczyjej godności. Na razie bywalcom mlecznego baru odpowiedzmy chociaż, co zagraża bytowi najtańszych jadłodajni i gdzie — jeśli one rzeczywiście znikną — będzie można się udać, gdzie szukać pomocy w bytowych trudnościach.

Anna Szopińska

Łaskawy chleb

★

Krystyna Kudynowska zastępująca kierownika Działu Administracji w nowotarskiej PSS „Społem" wolałaby pocieszyć stołujących się w mlecznym barze, ale sama przyszłości tej i podobnych placówek nie widzi w różowych barwach: właściciel budynku chce się pozbyć lokatorów z parteru i „wypowiedziany" bar powinien był właściwie zniknąć w terminie do 31 października. Decyzja naczelnika miasta, którą ów lokal został przydzielony społemowcom, daje jednak szansę utrzymania go do grudnia. Styczeń jawi się już jako wielka niewiadoma. W jeszcze gorszej sytuacji znalazł się drugi i ostatni w obrębie rynku bar — „Ekspres": na proponowaną przez PSS „Społem" cenę właścicielka budynku nie wyraziła zgody, lokal „Ekspresu" na parterze nie został wykupiony, został natomiast „wypowiedziany" i kto wie, czy wkrótce nie trzeba go będzie opróżnić, bo sprawa trafiła do sądu, właścicielka nie odbiera czynszu. Ponadto obie sąsiadujące z sobą społemowskie placówki — bar „Ekspres" i kawiarnia „Szarotka" — pozbawione zostały możliwości zsypania węgla do piwnicy, a w chłodzie trudno doczekać wiosny.

PSS chciałaby oczywiście utrzymać zajmowane dotąd lokale i swoje w nich placówki, bo to przecież racja bytu Spółdzielni, ale po zniesieniu szczególnego trybu najmu staje się to coraz trudniejsze, czasem wręcz niemożliwe. Negocjacje w kwestii wysokości czynszu dadzą pozytywny skutek może w jednym przypadku — baru „Juhas" przy ul. Waksmundzkiej.

★

Zarząd Miejski Polskiego Czerwonego Krzyża stanął przed tym samym problemem i wszystko wskazuje na to, że udzielający pomocy sami rychło będą jej potrzebować ze strony władz miejskich — dwa pokoiki zajmowane w budynku Komitetu PZPR „wypowiedziano" właśnie Zarządowi i będzie musiał opuścić biura do końca listopada. Ponoć Urząd Celny zajmie całe piętro. Pracownice PCK wprawdzie już od trzech lat oswajały się z myślą, że lokal trzeba zwolnić, ale do tej pory nie ukonkretnił się żaden projekt przydzielania im pomieszczeń zastępczych. Zważywszy, że czerwonokrzyskiej organizacji potrzebna jest też sala, gdzie można prowadzić szkolenia sióstr i urządzać spotkania opiekunów, a zarówno siostrom, jak i podopiecznym trudno byłoby wędrować gdzieś na peryferie — Zarząd będzie zabiegał o lokal mieszczący się w centrum albo na terenie osiedla Zawadzkiego, bo tam mieszka najwięcej chorych.

Z opieki sióstr PCK korzysta w ciągu roku od osiemdziesięciu do stu osób, niektórym podopiecznym donoszą one obiady ze stołówki PKPS, innych wyręczają w zakupach, praniu, sprzątaniu. Dwadzieścia pięć sióstr (lecz tylko osiemnaście pracujących w pełnym wymiarze godzin) nie zapewni jednak wszystkim potrzebującym całodziennej opieki, a niskie zarobki nie przyciągają młodych do tego zawodu. Część chorych i samotnych korzysta z pomocy sąsiedzkiej, bo i na taką formę wspomagania przewidziano środki finansowe. Z zapomóg okresowych na kupno węgla, piecyka czy na malowanie mieszkania może każdy podopieczny korzystać dwa razy w roku — w pierwszym półroczu otrzymało je ponad trzydzieści osób, PCK daje także zapomogi w wypadkach losowych. By ulżyć starym i niesprawnym, Zarząd zwrócił się do PHS z prośbą o przydzielanie 100 kilogramów cukru miesięcznie — od października każdy chory dostaje swoją torebkę bez stania w kolejce. Pomocą przy zrzucaniu węgla czy drzewa służą staruszkom chłopcy z Oddziału Obrony Cywilnej i szkolnego Koła PCK w Technikum Weterynaryjnym, bo z nimi najlepiej układa się współpraca.

Pielęgniarka terenowa, **Zofia Kaleta**, powiada, że od 2 października Zarząd PCK wydaje bloczki na zupy dla dwudziestu pięciu uczniów z „dwójki", a taka sama forma dożywiania przewidziana jest

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

Dziś w numerze

Mszana Dolna: nocne czuwanie w kolejce po węgiel ● **Zofia Szlachta** w jurgowskiej karczmie ● *Tyle będzie w Polsce kapitalizmu, ile społecznego nań przyzwolenia* ● Rolnicy o swoich utrapieniach ● **Lucyna Kaszuba** i **Anna Szopińska** w instytucjach pomocy społecznej ● **Leszek Zyzda** wspomina sądeckich socjalistów, **Stanisław Kulasik** — przeżycia z robót przymusowych w Niemczech ● Ppłk. **Czesław Gliński** o goszczeniu nieznajomych oszustów ● *Pamiętnik sądeczanki* ● Dolar dołem, ceny górą ● Sport — krzyżówka — program telewizji.

ILE ZA CO?

Dolary. 7 listopada nowosądeccy „cinkciarze" sprzedawali dolary po 6800 zł, bony — po 6600 zł. W kasie walutowej PKO dolary sprzedawano po 7000 zł, bony — po 6700 zł.

Najdroższe danie serwowane w restauracji „Stylowa" — eskalopki wieprzowe po parysku (plus ziemniaki, sałatka z pomidorów i ogórek) — 8315 zł, najtańsze — barszcz czerwony, w cenie 240 zł. Lampka wina „Sangria" w kawiarni „Ratuszowa" — 1788 zł, wermutu — 2392 zł, duża kawa — 1120 zł.

Maślany rynek, ceny z 7 października. Jajka — 250 zł, kilogram pomidorów — od 1,6 do 1,9 tys. zł, zielonej papryki — 1,3 tys. zł, ćwikłowych buraczków — 400 zł, pieczarek — 5 tys. zł, duży por — 500 zł, seler — 400 zł, sześciolitrowa miarka pszenicy — 2,5 tys. zł, jęczmienia — 2,3 tys. zł, mały oscypek — 150 zł. Kilogram jabłek — od 800 do 1300 zł, gruszek — od 1,5 do 1,8 tys. zł. Ceny ze stałych straganów: jabłka „lobo" — 1,3 tys. zł, gruszki — 2 tys. zł, papryka słodka — 3 tys. zł. Kilogram włoskich orzechów — 7 tys. zł, ogórków — 800 zł, czosnku — 2 tys. zł. Goździk — 200 zł, gerbera — 800 zł.

Mięso. Kilogram schabu — 12 tys. zł, karczku — 9 tys. zł, łopatki — 8 tys. zł, wołowiny z kością — od 6 do 7 tys. zł, wątróbki cielęcej — 7 tys. zł, drabinki wołowej — 4 tys. zł, boczku — 7 tys. zł, słoniny — 8 tys. zł, kaszanki — 1,5 tys. zł.

Targ zwierzęcy. Kura — do 10 tys. zł, dorodny kogut — 14 tys. zł, kaczka — 8 tys. zł, jagnię — 35 tys. zł, czterotygodniowy owczarek — 5 tys. zł, parka sześciotygodniowych prosiąt — 180 tys. zł.

„Ciuchy". Elastyczna opaska na włosy — 3,5 tys. zł, oryginalne „adidasy" — 100 tys. zł, białe skarpety bawełniane „Puma" — 6 tys. zł, męskie elestyczne kąpielówki w kolorze tygrysiej skóry — 10 tys. zł, czarne szkolne spódnice — 19 tys. zł, puszysty zagraniczny koc — 120 tys. zł, czapka „kominiarka" — 15 tys. zł, delikatne irchowe rękawiczki — 45 tys. zł, metr koronki — 2 tys. zł, damska torebka z opalizującej sztucznej skóry — 40 tys. zł, komplet cieni do powiek — 15 tys. zł, dezodorant „Fa sport" — 17 tys. zł. Plastykowa maszynka do makaronu — 14 tys. zł, radziecki komplet sztućców — 140 tys. zł, sześć dużych baniek choinkowych w muchomorki i bociany — 16 tys. zł. Długopis „Parker" — 80 tys. zł, wykrawarka „Bosh" — 320 tys. zł, 250 dekagramów kawy „Wiener" — od 8,5 do 9 tys. zł.

KRONIKA MILICYJNA

Rozboje i pobicia: Nowotarżanin Krzysztof K. odwiedził restaurację „Tatry" w swym mieście nie tylko — jak się okazało — w celach konsumpcyjno-rozrywkowych. W restauracyjnej ubikacji, grożąc nożem, odebrał Marianowi R. złotą obrączkę wartości 450 tys. zł ◆ W Nowym Sączu Paweł O. i Rafał O. obezwładnili nieletniego Daniela P., po czym zabrali chłopcu elektroniczny zegarek ◆ Również w Nowym Sączu Zdzisław M. napadł na interweniującego milicjanta ◆ Niemile skończyła się wizyta Marka R. w rabczańskiej restauracji „Zdrojowa": inny rabczanin, Paweł W., pobił go i zmusił do wydania 20 tys. zł.

Przestępstwa gospodarcze: 9 mln 200 tys. zł sięgnęły niedobory w magazynie Spółdzielni „Limanowianka", sprawcy są już znani milicji.

Kradzieże i włamania: Z mieszkania Zdzisława K. w Zakopanem włamywacze zabrali telewizor „vela" i artykuły żywnościowe, łącznej wartości 540 tys. zł ◆ Kawę, kakao i cukier skradziono ze sklepu PSS „Społem" w Nowym Targu ◆ W tym samym mieście nieznani sprawcy wyłamali drzwi sklepu „Unitry", po czym zagarnęli radiomagnetofony „klaudia" i „brda" oraz 2 kalkulatory „brda" ze wzmacniaczem ◆ 2 radiomagnetofony „sanyo", video „panasonic" z pilotem, 2 pary „adidasów", komputer „atari", radziecka lornetka, 3 zegarki kwarcowe „ataurenc" i 2 pary rękawic narciarskich „salamon" — to łup złodziei, którzy włamali się do sklepu ze sprzętem elektrycznym w Zakopanem. Straty szacuje się na 10 mln zł ◆ Z zakopiańskiego komisu „Grapa" skradziono m.in. wiązania i buty narciarskie, spodnie (tajlandzkie) i kalkulator z drukarką. Suma strat — ponad 2 mln 300 tys. zł ◆ Na 600 tys. zł wyceniony był motyl przybrany naturalnymi koralami, skradziony z kiosku pamiątkarskiego Mieczysława B. w Rabce ◆ Z magazynu ośrodka „Juventur" w Myślcu włamywacze zabrali żywność wartości 550 tys. zł ◆ Otwór wybity w tylnej ścianie sklepu spożywczego GS w Rabie Wyżnej pozwolił włamywaczom wynieść wyroby spirytusowe, kawę i gotówkę. Łącznie GS poniósł stratę sięgającą 6,5 mln zł ◆ „Tylko" 1 mln 265 tys. zł to wartość artykułów spożywczych zagarniętych przez włamywaczy ze sklepu Bożeny G. w Nowym Sączu ◆ Czesławowi P. — mieszkańcowi Puszczykowa — skradziono w Zakopanem z „toyoty" radiomagnetofon „sharp" i 2 kolumny głośnikowe ◆ W jednym dniu w Porębie Wielkiej ofiarą włamywaczy padły 3 domki letniskowe. Marianowi G. skradziono telewizor „junost", wiertarkę elektryczną, młynek do kawy i świecznik z jeleniego rogu. Wiesławowi K. — telewizor turystyczny „neptun", radia tranzystorowe „ania" i „sokół", lornetkę, suszarkę do włosów, robot kuchenny, odzież i artykuły spożywcze. Andrzejowi D. — telewizor „taurus", 2 kaloryfery olejowe, odkurzacz, japońskie wiązania do nart marki „hope", odzież i bielizną pościelową ◆ Z nie zamkniętego „poloneza" Jolanty M. złodziej zabrał w Nowym Targu erefenowski radioodtwarzacz i 15 kaset magnetofonowych ◆ 100 koron czeskich, 30 tys. zł, złotą obrączkę i pierścionek skradziono w Nowym Sączu obywatelce Czechosłowacji — Annie K. wraz z torebką ◆ Z pokoju w Sanatorium Wojskowym w Krynicy zginęła łodziance Joannie S. torebka z 40 markami RFN, 125 tys. zł i złotą biżuterią wartości 800 tys. zł ◆ 8 kurtek skórzanych i dżinsowych „wyparowało" z szatni Liceum Ogólnokształcącego w Zakopanem ◆ Z pewnego mieszkania w Łapszach Niżnych złodziej zabrał złoty zegarek z łańcuszkiem, wartości 500 tys. zł ◆ Krowę wartości 1 mln zł wyprowadził złodziej z obory Tadeusza B. w Bukowinie Tatrzańskiej ◆ 5 kół do przyczep ciągnikowych to łup złodzieja, który odwiedził w Łęce filię Spółdzielni Usług Rolniczych z Korzennej ◆ W Nowym Sączu skradziono motocykl „simson", a w Gorlicach „jawę" ◆ „Polonez" (wraz ze znajdującymi się w nim — radzieckim telewizorem, radiomagnetofonem, odzieżą, 400 dolarami USA i 590 markami RFN) został skradziony mieszkańcowi Dębicy — Dariuszowi Sz. W Szczawnicy funkcjonariusze milicji zatrzymali kierowcę poruszającego się tym samochodem, skradzione mienie wróciło do właściciela.

Wypadki drogowe: W Małym Cichem obywatelka węgierska najechała swą „ładą" na tył „ursusa". Jej mąż — Ferenc N. zginął na miejscu ◆ Tragicznie zakończyło się nagłe wejście na jezdnię mieszkańca Czarnego Dunajca. Pieszy dostał się pod koła motocykla i poniósł śmierć ◆ Kierujący „fiatem 125p" Jan D. potrącił w Nowym Targu przechodzącą przez jezdnię kobietę, która zginęła na miejscu. Następnie zjechał na lewy pas ruchu i zderzył się czołowo z motocyklem. W wyniku tego zderzenia motocyklista — Stanisław L. z Klikuszowej i jego pasażer oraz pasażer „fiata" zostali ranni ◆ Nietrzeźwy kierowca „fiata 126p" — Jan Ł. zjechał w Nowym Sączu na chodnik i śmiertelnie potrącił Janinę B. ◆ Leżący na jezdni w Wysokiem Józef Z. został przejechany przez „Żuka" ◆ Również nieznany mężczyzna siedzący na jezdni w Klikuszowej zginął pod kołami „fiata 126p" ◆ W Rabce kierujący „fiatem 126p" Arkadiusz C. potrącił śmiertelnie pieszego — Wojciecha R. ◆ 2 osoby poniosły śmierć a 4 zostały ranne w wyniku nieostrożnej jazdy kierowcy „fiata 125p", który w Sękowej wyłamał barierę mostu i spadł do potoku. Nazwiska kierowcy na razie nie ustalono.

Inne wydarzenia: W Mstowie (gmina Jodłownik) spłonęła stodoła Edwarda Sz., wraz ze znajdującymi się w niej plonami. Straty szacuje się na prawie 6 mln zł ◆ Nieznany mężczyzna, obiecując pomoc w zakupie zamrażarki, wyłudził od mieszkańca Zubrzycy Górnej ponad 1 mln zł ◆ Janusz Sz. z Krakowa, łowiąc ryby w Jeziorze Rożnowskim, wpadł do wody i utonął. Zwłok nie odnaleziono.

elg.

(Z informacji rzecznika prasowego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych)

Zaprosili nas

Komitet Miejski PZPR w Nowym Sączu na spotkanie poświęcone wypracowaniu formuły wyboru delegatów na XI Zjazd;

● Prezydium Komitetu ZSL w Dobrej na Zjazd gminnej organizacji;

● Rada Nadzorcza Oddziału Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Nowym Sączu na posiedzenie plenarne;

● Terenowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Limanowej na wystawę pt. Choroby zakaźne, zatrucia pokarmowe, choroba AIDS;

● Oddział Polskiego Związku Filatelistów w Nowym Sączu na wystawę znaczków z okazji 200-lecia Rewolucji Francuskiej (ekspozycja czynna w salonie BWA przy ul. Jagiellońskiej 34 od 9 listopada br.);

● Koło Sportowe przy Szkole Podstawowej nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Nowym Sączu na Szkolny Bieg Pokoju oraz Międzyszkolne Biegi Sztafetowe szkół podstawowych i średnich.

Warto wiedzieć, że...

● Działalność Urzędu Gminy w Nowym Targu uznano w wyniku kompleksowej kontroli ze zadowalającą. Od poprzedniej kontroli, przeprowadzonej w 1984 roku, poprawiło się wykonywanie zadań z zakresu planowania gospodarczego, geodezji i gospodarki gruntami, rolnictwa, leśnictwa, kultury, obrony cywilnej oraz sprawozdawczości statystycznej. Pogorszyła się praca administracji w zakresie nadzoru budowlanego, ogranicznej handlu i usług oraz kultury fizycznej. Nie widać poprawy w dziedzinie realizacji budżetu oraz ściągania podatków i opłat terenowych.

Na miarę istniejących możliwości wykonywane są w gminie zadania gospodarcze. Zmodernizowano i rozbudowano szkoły w Rogoźniku, Łopusznej i Lasku. Rozbudowywane są remizy w Obidowej i Ludźmierzu, modernizuje się osiem odcinków dróg. Nie byłoby to wszystko możliwe bez czynów społecznych. Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" oddała do użytku nową piekarnię, przygotowuje się do uruchomienia wytwórni wód gazowanych w Krempachach, buduje sklep w Ostrowsku.

Nowotarska gmina specjalizuje się w hodowli bydła i owiec. Jednakże z powodu nadmiernego eksportu jagniąt spadło pogłowie owiec. Duży jest skup mleka, rośnie skup żywca wieprzowego. W latach 1988-89 przydzielono rolnikom 49 ciągników i 17 kosiarek rotacyjnych. Jest to sporo, ale za mało w stosunku do zapotrzebowania. Obecnie jeszcze 165 rolników oczekuje na przydział ciągników, a 156 na kosiarki rotacyjne. Niezadowalający jest nadzór nad gospodarką w lasach mienia gminnego, który — wbrew obowiązującym prawom — powierzono sołtysom. Brakuje kartotek materiałowych drewna, ewidencji drewna pozyskanego i jego rozchodu.

Prawidłowo realizowane są zadania w zakresie geodezji i gospodarki gruntami. Niezbyt skuteczny jest nadzór budowlany (w br. ujawniono 17 przypadków samowoli budowlanej, z czego prawie połowę zalegalizowano).

Podejmowane są — choć nie zawsze konsekwentnie — próby poprawy stanu sanitarnego gminy. W ubiegłym roku skontrolowano pod tym względem 1770 gospodarstw, ujawniając 26 wykroczeń sanitarnych oraz 222 porządkowe, nałożono 79 mandatów karnych. Dla poprawy stanu sanitarnego opracowano dokumentację na budowę lokalnych oczyszczalni ścieków w Dębnie i Łopusznej oraz ustalono wstępną lokalizację oczyszczalni w Nowej Białej i Krempachach. Podjęto działania zmierzające do urządzenia komunalnego wysypiska śmieci w Nowej Białej. Sprawa ciągnie się od lat i trudna będzie do sfinalizowania. W marcu br. prezydium GRN negatywnie zaopiniowało budowę tego wysypiska. W Pyzówce i Szlembarku powstały spółki wodno-ściekowe, które zleciły opracowanie dokumentacji oczyszczalni ścieków dla tych miejscowości. Jeśli nie zabraknie chęci i funduszów, sześć wiosek w nowotarskiej gminie ma szansę zbudować oczyszczalnię ścieków. Konieczna jest pilna likwidacja wysypisk śmieci w Waksmundzie i Ostrowsku, bo zlokalizowane nad Dunajcem — zagrażają czystości jego wód. Z wnioskiem w tej sprawie już w maju ubiegłego roku wystąpiła do Urzędu Gminy Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej w Krakowie. Wniosek nie został zrealizowany, a Urząd Gminy nawet nie udzielił wnioskodawcy odpowiedzi.

Według oceny Terenowej Stacji Sanepidu w Nowym Targu — w 11 placówkach oświatowych na terenie gminy warunki sanitarno-techniczne wymagają pilnej poprawy. Na 46 skontrolowanych obiektów tzw. żywnościowo-żywieniowych — w 26 stwierdzono poważne nieprawidłowości zarówno w zakresie stanu technicznego, jak utrzymania czystości i porządku. Niewłaściwe warunki sanitarno-higieniczne ujawniono w zlewniach mleka w Gronkowie i Łopusznej oraz w piekarni J. Rychtarczyka. Zły stan techniczny oraz nie najlepszą jakość wody stwierdzono w wodociągu publicznym w Rogoźniku.

STANISŁAW KUTA — NOTES

Spotkałem młodego architekta, który na terenie naszego województwa poszukiwał budynków wzniesionych w latach drugiej wojny światowej i bezpośrednio po niej — z niepalonej gliny. Widząc moje zdziwienie, pokazał mi zdjęcia domu mieszkalnego zbudowanego w 1942 roku, w Skomielnej Białej, szkoły podstawowej w Kasinie Małej, wzniesionej w 1948 roku, oraz domu postawionego w 1955 roku we wsi Łazy koło Rożnowa. Wszystkie te budynki po wieloletniej eksploatacji są w dobrym stanie technicznym, nadal służą użytkownikom, nie zachodziła konieczność wykonywania w nich wielkich remontów. Wnioski z przeprowadzonych badań są jednoznaczne: obiekty z niepalonej gliny spełniły doskonale swoją rolę, a co najważniejsze — zbudowane zostały z dostępnego na miejscu taniego materiału. Młody architekt myśli o tym, aby zbudować w przyszłości taki dom dla siebie. Prawdopodobnie całe osiedle domków mieszkalnych jest już budowane przy użyciu tej technologii w Karniowicach koło Trzebini. — *Trzeba wykorzystać do budowy domów naturalny tani materiał, który występuje prawie wszędzie. Szczególnie teraz, kiedy brakuje mieszkań, których nie da się więcej zbudować przy użyciu konwencjonalnych, energochłonnych materiałów* — twierdzi młody entuzjasta.

★

Stały wzrost cen zmusza wielu do kupowania mniejszych niż dawniej ilości wędlin. Zgłaszane są więc postulaty, aby handel wprowadził krajalnice i sprzedawał wędliny, szczególnie te grube, w formie pociętej (plasterków). A może powróci dobry zwyczaj pakowania wędlin, już w wytwórniach, w małe foliowe torebki? I higieniczniej, i łatwiej przechowywać.

★

Polecamy uwadze odpowiednich służb prezydenta Nowego Sącza istniejące od trzech lat przekopy na ulicy Poniatowskiego (skrzyżowanie Poniatowskiego-Boczna). Mieszkańcy udający się do sklepu lub od nowego osiedla do przychodni lekarskiej albo przystanku autobusowego zmuszeni są chodzić jezdnią lub — jeśli ktoś potrafi — przeskakiwać rowy. A jest to szczególnie niebezpieczne, gdy przekopy wypełnia woda. Swoją drogą warto by wiedzieć, kto imiennie odpowiada za to niedbalstwo?

★

Napisał do redakcji pan **Władysław Dudek**, skarbnik Komitetu do spraw Gazyfikacji w Łososinie Dolnej, zaniepokojony informacją w „Dunajcu" o ograniczeniach w dostawie gazu ziemnego. Pragnę uspokoić pana Dudka oraz wszystkich mieszkańców Łososiny Dolnej i innych miejscowości, w których prowadzone są prace gazyfikacyjne, że otrzymają przydział gazu zgodnie z zapewnieniem danym przez zakłady gazownicze. Trudności z pozyskaniem dodatkowego gazu ze źródeł krajowych oraz z importu spowodowały, iż przedsiębiorstwa gazownicze wstrzymały wydawanie nowych zapewnień dostaw gazu i warunków technicznych jego podłączenia. Oznacza to, że nowo powstające komitety, starające się o przydział gazu, otrzymują na razie odpowiedzi odmowne, natomiast wydane wcześniej zapewnienia mają pokrycie w dostawach gazu. Mieszkańcy Łososiny Dolnej — posiadający taki dokument — mogą więc spokojnie kontynuować prace i życzę, aby zakończyli je w ciągu dwóch lat, o czym zapewnia nas pan Dudek.

Sprawa zakazu wydawania zapewnień dostaw gazu była tematem interpelacji w Sejmie, na którą odpowiadał **Stanisław Kłos** — podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu. Zapewnił o dostawach gazu dla zadań już rozpoczętych.

TYDZIEŃ

W październiku punkty skupu zbóż świeciły pustkami, np. w Chełmcu skupiono zaledwie 10 ton (czterokrotnie mniej niż przed rokiem). Nadzieja w tzw. pożyczce zbożowej wprowadzanej przez rząd w listopadzie: za sprzedany na kredyt towar rolnicy otrzymają należność (już zrewaloryzowaną) po sześciu miesiącach. W regionie czekać będzie na dostawców 13 punktów GS.

Według zapewnień sądeckiego ZUS — wszyscy emeryci i renciści otrzymają do końca listopada wyrównania za trzy miesiące, w wysokości 90 tys. zł. Pierwsze wypłaty trafiają już do odbiorców. Niestety, choć uroczyste oddanie nowego budynku ZUS przy ulicy Sienkiewicza już się odbyło, jeszcze nie nastąpiła przeprowadzka.

W Gorlicach poszły na przetarg 23 siedmioarowe działki budowlane. Najtańsza kosztowała 6,3 mln zł, najdroższa — 25 mln. Do kasy miejskiej wpłynęło 25 procent ich wartości, resztę nowi właściciele spłacą w rocznych ratach. Obecnie w Gorlicach buduje się ponad 200 mieszkań, w tym — 170 na Zawodziu. 20 mieszkań przybędzie „Glinkowi" i tyleż samo miastu — przy ulicy Kościuszki powstaje blok komunalny.

W Ochotnicy Dolnej oddano nowy budynek poczty, dopiero jednak w przyszłym roku będzie uruchomiona centrala telefoniczna.

Trzy miesiące budowano most łączący wieś Osielec z przysiółkiem Rola Słoninowa (gmina Jordanów). Wartość prac społecznych — 10 mln zł. Na ukończeniu jest remiza w Sidzinie wznoszona siłami mieszkańców.

W Limanowej wybudowano ponad dwukilometrową drogę Pasierbiec-Kisielówka. Koszt — 60 mln zł. Pomógł PZU, sporo zrobiono w czynie społecznym.

W zakopiańskim szpitalu zakończono remonty w oddziałach ginekologicznym, położniczym i noworodków.

Trzynaście razy interweniowali strażacy; straty — ponad 20 mln zł. W Szczawnicy spłonęło poddasze domu — zniszczona część budynku oraz wyposażenie gabinetu dentystycznego. Trzykrotnie sami mieszkańcy ugasili ogień — w Marcinkowicach i w Nowym Sączu (najniebezpieczniej było w ZNTK, gdzie wybuchł pożar w stolarni).

Na drogach — 31 wypadków, 10 ofiar śmiertelnych, 37 rannych; podczas weekendu zatrzymano 22 nietrzeźwych kierowców.

KTO — KIM?

Stanisław BAŃKA — lat 40, rodem z Rabki, absolwent Technikum Budowlanego w Zakopanem oraz poznańskiej Szkoły Chorążych Pożarnictwa, obecnie student V roku kierunku inżynierskiego w warszawskiej Szkole Głównej Służby Pożarniczej i od niedawna — szef zakopiańskiej Komendy Rejonowej Straży Pożarnej; odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi i srebrnym medalem „Za ochronę porządku publicznego"; doglądą rozbudowy „swojej" remizy, w wolnych chwilach fotografuje, jeździ na nartach i łyżwach; żona Danuta — fryzjerka, synowie Dariusz (15 lat) — uczeń Technikum Budowlanego i Rafał (4 lata).

Krystyna SAŁYGA-DĄBKOWSKA — urodzona w Milanówku pod Warszawą, od 1956 w Zakopanem, dziennikarka, autorka szkiców o górach, przez 13 lat zawodowa ratowniczka GOPR, instruktorka narciarstwa i taternictwa, przewodniczka tatrzańska I klasy; szkoła i studia w Warszawie, w GOPR prowadziła dział profilaktyki, uczestniczka wielu wypraw ratowniczych, obecnie na rencie; odznaczona m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi i Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Srebrną Odznaką GOPR i Złotą Odznaką PTTK, ostatnio — w 80-lecie tatrzańskiego ratownictwa górskiego — Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; czeka 20 lat na spółdzielcze mieszkanie; mąż Roman — goprowiec, instruktor narciarski (rencista), syn Michał — żonaty, ma dwoje dzieci — Daniela i Artura (również ratownik GOPR).

Weronika MIREK — lat 70, rodem z Nawojowej, wzorowa rolniczka, od 50 lat gospodarzy na 8 hektarach (hodowla krów mlecznych), wiceprezeska Koła Gospodyń Wiejskich, prezeska Gminnego Związku Hodowców Bydła, członkini rady nadzorczej Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Nowym Sączu, uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi, uzyskała I miejsce w wojewódzkim konkursie „Mistrz produkcji zwierzęcej"; w wolnych chwilach szyje dla siebie i rodziny; mąż Józef — sołtys, czworo dorosłych dzieci: Jan — elektryk, Stanisława — dietetyczka, Tadeusz — gospodarzy z rodzicami w Nawojowej, Maria — nauczycielka matematyki w sądeckim II „ogólniaku", piętnaścioro wnucząt.

Stanisław MRUK — lat 64, urodzony w Moszczenicy, wzorowy rolnik — na 8 hektarach hoduje bydło mleczne i opasowe, współpracuje z Nowosądeckim Ośrodkiem Postępu Rolniczego (uprawa zbóż i ziemniaków); odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, zdobywca tegorocznej nagrody „Złota Wiecha" za nowy budynek inwentarski; interesują go programy telewizyjne o niezwykłych wydarzeniach ze świata oraz filmy (zwłaszcza westerny); żona Maria — rolniczka, syn Wiesław — 34 lata, żonaty, dawniej pracownik „Glinika", obecnie gospodarzy z ojcem w Moszczenicy i prowadzi zakład elektromechaniczny (przewijanie silników), troje dzieci — 10, 9 i 7 lat.

Marian WARDĘGA — lat 29, pochodzi z Przyszowej (gmina Łukowica), dyrektor Ośrodka Turystyki Młodzieżowej „Juventur" w Myślcu nad Popradem, od 13 lat w ZSMP; absolwent limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego, w 1979 roku pierwsza praca w Urzędzie Gminy w Łukowicy, potem — dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury; od niedawna — społeczny przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZSMP — chce rozwijać działalność gospodarczą organizacji; hobby — praca na działce, historia Polski międzywojennej i II wojny światowej; żona Wanda — technolog żywienia zbiorowego (obecnie na urlopie wychowawczym), bliźniaki — Anita i Adrian (po 3,5 roku).

Nowe rozwiązania prawne spowodowały znaczne ożywienie indywidualnej przedsiębiorczości, w br. wpisano do rejestrów 142 nowe zakłady, a więc trzykrotnie więcej niż w roku ubiegłym. Zarejestrowano 25 zakładów stolarskich i tyleż transportowych oraz 24 dziewiarskie. Podjęta została działalność usługowa w branżach dotychczas w gminie nie występujących, jak naprawy sprzętu radiowo-telewizyjnego i sprzętu gospodarstwa domowego czy maglowanie.

Pozytywną ocenę kontrolerów zyskało funkcjonowanie oświaty na terenie gminy nowotarskiej. Rozwija się ruch sportowy, dzięki działaniom 15 ogniw Ludowych Zespołów Sportowych. W Krempachach, Dębie i Obidowej modernizowane są schroniska szkolne. Nastąpił postęp w dziedzinie rozwoju kultury, Gminny Ośrodek Kultury organizuje spektakle teatralne, występy kabaretowe, turnieje, konkursy, koncerty estradowe, a ponadto kursy tańca, gry na skrzypcach, języka francuskiego. W Krempachach prowadzony był Uniwersytet Powszechny oraz Studium Teatru Lalek. W gminie działa 10 zespołów folklorystycznych, 5 wiejskich orkiestr dętych, zarejestrowanych jest kilku twórców ludowych — rzeźbiarzy, hafciarzy i malarzy. Na bardzo wysoką ocenę zasłużyła praca Gminnej Biblioteki Publicznej oraz jej filii.

Dobrze prowadzone są sprawy z zakresu opieki społecznej, komunikacji, działań społeczno-administracyjnych, zaopatrzenia emerytalnego rolników oraz ochrony przeciwpożarowej. Na terenie gminy działa 21 jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, przy czym OSP w Knurowie, Dursztynie i Morawczynie nie posiadają remiz.

Przeprowadzone wśród losowo wybranych mieszkańców gminy anonimowe badania ankietowe na temat sprawności obsługi obywateli przez administrację państwową i inne jednostki — dały oprócz pozytywnych ocen, także krytyczne uwagi. Mieszkańcy gminy uważają, że urzędnicy nie zawsze grzecznie odnoszą się do interesantów, nie zawsze są kompetentni. Jeden z ankietowanych zwrócił uwagę na częste zamykanie pomieszczeń biurowych w godzinach pracy bez jakiejkolwiek informacji o przyczynach oraz brak zdyscyplinowania pracowników, którzy w czasie godzin pracy dokonują zakupów, a interesanci czekają na załatwienie spraw. Wytknięto też urzędnikom żądanie pisemnych podań oraz nieterminowe załatwianie spraw. Naczelnikiem kontrolowanej gminy jest od wielu lat **Jan Kasprzycki**, a sekretarzem Urzędu **Wojciech Rapacz.**

● Kolegium ds. Wykroczeń przy Wojewodzie Nowosądeckim rozpatrzyło w ciągu trzech kwartałów br. 392 odwołań od orzeczeń kolegiów rejonowych. Ilość odwołań zmniejszyła się o połowę w stosunku do roku ubiegłego. Świadczy to z pewnością o lepszym orzecznictwie kolegiów I instancji, ale również o... inflacji, gdyż grzywny znacznie się zdewaluowały i nie stanowią już dzisiaj większej dolegliwości.

Ze statystyki wynika, że około 5 procent rozstrzygnięć kolegiów I instancji podlega uchyleniu na szczeblu wojewódzkim. Kary częściej są zaostrzane niż łagodzone.

Ostatnio funkcjonowaniem kolegiów zajęła się Komisja Przestrzegania Prawa i Porządku Publicznego WRN. Zwrócono uwagę na niedociągnięcia w pracy „Małego wymiaru sprawiedliwości", złe warunki lokalowe kolegium rejonowego w Nowym Sączu, często zmieniającą się obsługę prawno-administracyjną kolegium w Nowym Targu. Podkreślono wagę działań profilaktycznych i wychowawczych oraz postulowano zaostrzenie sankcji w stosunku do winnych zanieczyszczania naturalnego środowiska. W świetle badań prokuratorskich krytycznie oceniono działalność Kolegium ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Nowego Sącza, któremu zarzuca się wiele formalno-prawnych uchybień.

● W Nowym Targu powstał oddział terenowy Związku Byłych Żołnierzy Armii Krajowej. Obejmuje swoim zasięgiem Nowy Targ, Zakopane, Rabkę, Jordanów, Jabłonkę, Bukowinę Tatrzańską, Czorsztyn i Rabę Wyżną.

● Pasażerowie podróżujący autobusami PKS w kierunku Jelnej i Siedlec nagminnie narzekają na to, że kierowcy nie wydają im biletów. Przydałyby się na tej linii częstsze wizyty kontrolerów.

● Wszystko wskazuje na to, że plan budownictwa mieszkaniowego również w tym roku nie zostanie wykonany. Jego zaawansowanie po trzech kwartałach wyniosło 51, 3 procenta. W budownictwie uspołecznionym oddano do użytku 557 mieszkań, a w budownictwie indywidualnym 1471.

ROMAN KOSTANECKI

LUCYNA KASZUBA

Rolnicy na torze przeszkód

Przez wiele lat **Jerzy Stach** był górnikiem w bytomskiej kopalni „Rozbark". Ciągnęło go jednak do rodzinnej wsi Brunary opodal Ustia Gorlickiego. Rzucił więc kopalnię, odkupił od brata ponad dwunastohektarowe gospodarstwo i został rolnikiem. Najpierw postawił chlewnię, za którą przed trzema laty nagrodzono go „Złotą Wiechą". Teraz — w wojewódzkim konkursie „Mistrz produkcji zwierzęcej" zajął II miejsce. To niezłe wyniki jak na rolnika z czteroletnim stażem. — *Trzy razy w roku sprzedaję po 150 sztuk trzody chlewnej. Hoduję także bydło mleczne i opasowe. Z coraz większym jednak niepokojem myślę o przyszłości. Czy rolnicy wytrzymają galopadę cen, czy hodowla nie stanie się zbyt kosztownym zajęciem?*

Zdrożała energia elektryczna, lada dzień podskoczą ceny opału. Tona paszy kosztuje teraz 400 tys. zł. By wyhodować jednego wieprzka o wadze 120 kg — przez kilka miesięcy karmię go własnymi kiszonkami, śrutą zbożową, otrębami i ponadto zużywam 200 kg dokupionej paszy. W ubiegłym roku zlikwidowano deputaty węglowe dla rolników — nie możemy już za żywiec nabywać opału w pierwszej kolejności. Nadal obowiązuje sprzedaż wiązana przy zakupie pasz; zamiast więc wybrać kupca, który daje najwięcej za towar — odstawiam do punktu skupu za mniejszą cenę. Od dawna szukam blachy i cementu, by ukończyć budowę domu. Bez talonu nie sposób zdobyć ciągnik czy kosiarkę. Wciąż przed nami tor przeszkód. Może najprościej uprawiać warzywa, kwiaty lub hodować króliki?

Stanisław Bogusz z Podola także pełen obaw: — *Trudno cokolwiek planować. Kto dziś porwie się na inwestowanie w gospodarstwo, gdy nie wiadomo, ile za miesiąc czy dwa będzie kosztować cegła, stal, wapno? Żyjemy jak na huśtawce. W jednym dniu rolnik cieszy się, że sporo zarobił, w drugim widzi, że stracił, bo ceny znów wyższe. W niezwykle trudnej sytuacji są ludzie z niewielkich gospodarstw: w ciągu roku wychowają po dwie-trzy sztuki bydła, więc niewiele zyskają.*

Stanisław Mruk z Moszczenicy: — *Ludziom w mieście wydaje się, że teraz na wsi najlepiej. To nieprawda, kryzys dotyka wszystkich, którzy żyją z pracy rąk. Bez trudu bogacą się za to pośrednicy i rozmaici kombinatorzy. Żywność była do niedawna (dzięki państwowym dotacjom) zbyt tania. Za metr zboża kupowano gotowe produkty — metr mąki lub cukru. To nienormalne, ale nie jest także normalne, że za 10 krajowych żyletek zapłaciłem ostatnio 4 tys. złotych i że butelka oranżady kosztuje tyle samo co litr tłustego mleka w punkcie skupu. Ceny muszą wynikać z rzeczywistych kosztów produkcji, nie mogą być zbyt wysokie ani zbyt niskie. W innym wypadku nadal będzie się marnować ciężka praca rolników, a gospodarka — ponosić straty.*

Tadeusz Domalik ze Spytkowic ma 32 lata. Ożenił się z dziewczyną z Rabki, panną po „ogólniaku", która zakasała rękawy i z mężem prowadzi ponad dwunastohektarowe gospodarstwo. Początki były trudne. — *Przez kilka lat stawialiśmy dom, potem oborę, za którą przyznano nam „Złotą Wiechę". Zdążyliśmy w ostatniej chwili z tymi inwestycjami (teraz chyba nie poradzilibyśmy sobie finansowo). Hoduję mleczne krowy i buhaje. Nie boję się pracy. By jednak myśleć o rozwijaniu produkcji potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa, stabilizacja rynku i cen.*

Mam także drugi zawód — ślusarz-mechanik. Potrafię naprawić każdą maszynę. Co jednak mają robić inni rolnicy przy kiepskim stanie usług i braku nowego sprzętu?

Czesław Młynarczyk z Nowego Sącza corocznie odstawia do skupu 360 sztuk trzody chlewnej. Zaryzykował przed laty stawiając dużą chlewnię i nie narzeka, choć doskwierają kłopoty z brakiem węgla i pasz. — *Denerwuje to, że za własne, ciężko zapracowane pieniądze nie można kupić niezbędnego sprzętu, że talon na ciągnik jest nadal... nagrodą. Tytuł „Mistrza gospodarności" i II miejsce w województwie nie osłodzą zawodu — marzyłem o nowym ciągniku, lecz zabrakło talonu.*

Jan Szewczyk z Łososiny Dolnej może się uważać za szczęściarza — otrzymał talon. Radość mocno zaprawiona goryczą brzmi w jego słowach: — *Nagrodzono hodowców za wyniki z ubiegłego roku. Czy musieliśmy czekać aż 10 miesięcy na wojewódzką uroczystość? Czy urzędnicy nie mogli przygotować jej prędzej? Maszyny ostatnio podrożały prawie o sto procent. Najtańszy ciągnik kosztuje teraz 6,5 mln złotych, najdroższy — ponad 10 mln złotych.*

★

Zanotowałam wypowiedzi kilku rolników, którzy zjechali do Sącza na spotkanie podsumowujące konkursy „Złota Wiecha" oraz „Mistrz produkcji zwierzęcej". Niepokój o przyszłość i żal, że „zielone światło" dla rolnictwa wciąż ma tylko symboliczną wymowę, przebijały w kuluarowych rozmowach. Spotkanie prowadzone przez dyrektora Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa — **Zenona Gądka**, też nie wypadło najlepiej. Nadmierny pośpiech podczas odznaczania najlepszych i niechlujnie porozrzucane na stołach słone paluszki w foliowych woreczkach — nie dodawały uroczystości nastroju.

Odznaczenia otrzymali: Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski — **Jakub Chryc** (Kluszkowce), **Józef Gorgosz** (Brunary), **Wojciech Knutelski** (Grywałd), **Józef Marszał** (Nowy Sącz), **Ludwik Pacholarz** (Jazowsko), **Antoni Maślanka** (Piwniczna), **Mieczysław Rączka** (Nowy Targ), **Genowefa Smoleń** (Krynica), **Zygmunt Waśko** (Podegrodzie) i **Tadeusz Zawiślak** (Łużna); Złote Krzyże Zasługi — **Henryk Dunikowski** (Limanowa), **Edward Hajduk** (Podole), **Jan Klimek** (Kamionka Wielka), **Marianna Kądziołka** (Nowy Sącz), **Tadeusz Kubisz** (Łabowa), **Jan Kurek** (Tymbark), **Jan Michalik** (Łużna), oraz **Jan Turski** (Korzenna); Srebrne: — **Jadwiga Adamczyk** (Laskowa), **Czesław Dziobek, Teresa Bieniek, Włodzimierz Chmiel, Eugeniusz Duran, Anna Marut, Andrzej Rybarski i Bronisława Szkaradek** (Nowy Sącz), **Artur Kędracki** (Bystra), **Jan Pakosz** (Łabowa), **Rozalia Rojek** (Rupniów), **Ignacy Szura** (Wyskitna), **Stanisław Tałach** (Polna) oraz **Irena Wielocha** (Stary Sącz); Brązowe: — **Maria Dutka** (Nowa Wieś), **Stanisław Giza** (Tymbark), **Franciszek Gruca** (Berest), **Tadeusz Pachota** (Bujne), **Edward Polański** (Łomnica), **Edward Grudzień, Bogusław Pawlik** i **Márian Wolak** (Nowy Sącz), **Eleonora Konieczny** i **Jakub Sekuła** (Grybów), **Mieczysław Słowik** (Mochnaczka) i **Marian Zubek** (Gołkowice).

„Złotymi Wiechami" nagrodzono nowe oraz zmodernizowane budynki: **Tadeusza Domalika** ze Spytkowic, **Józefa Hojnora** z Trzycierza, **Krystyny** i **Bogdana Kasinów** z Przyszowej, **Władysława Kołata** z Łopusznej, **Andrzeja Kroczka** z Przyszowej, **Stanisława Mruka** i **Stanisława Niemca** z Moszczenicy, **Czesławy** i **Stanisława Stępniów** z Ratułowa oraz **Stanisława Tałacha** z Polnej.

Mistrzami produkcji zwierzęcej zostali: hodowcy krów mlecznych — **Weronika Mirek** z Nawojowej, **Zofia Franczyk** z Czerńca, **Jan Szewczyk** z Łososiny Dolnej, **Czesław Myrda** z Morawczyny, **Stanisław Rosiek** z Siedlec i **Julian Popiela** z Mszalnicy; producenci żywca wołowego — **Stanisław Dębski** ze Starej Wsi, **Jan Kos** z Mochnaczki Wyżnej, **Stanisław Bogusz** z Siedlisk, **Marek Kuc** z Podłopienia, **Jakub Sekuła** z Grybowa i **Edward Hajduk** z Podola; hodowcy trzody chlewnej — **Stanisław Tałach** z Polnej, **Ignacy Szura** z Wyskitnej, **Czesław Młynarczyk** z Nowego Sącza, **Jerzy Stach** z Brunar oraz **Wiesław Maciaszek** z Rabki; hodowcy owiec — **Stanisław Pach** ze Słopnic, **Stanisław Bukowski** z Maruszyny i **Czesław Kołodziej** z Łętowego.

Rolnicy z Zakopanego i gmin tatrzańskiej oraz gorlickiej otrzymają odznaczenia i nagrody podczas najbliższych uroczystych sesji tamtejszych rad narodowych.

Piszą do nas

● Konkluzja kilku listów i rozmów telefonicznych:

— *Pogarsza się skandalicznie jakość wędlin — mimo iż równocześnie rosną ceny! Kiełbasa szynkowa przypomina dawną mortadelę, a kabanos to prawie zwykła, niewysuszona kiełbasa, tyle że cienka. Woda we wszystkim, nawet w polędwicy za 28 tys. zł. Galaretowaty salceson nie da się pokroić, tak niechlujnie zrobiony. Czy ktoś jeszcze kontroluje rynek?*

● Pani **Halina Krzanik** z Mszany Dolnej:

17 października poszłam późnym popołudniem do punktu sprzedaży węgla i materiałów budowlanych, by zapisać się na listę oczekujących. Moje nazwisko znalazło się pod numerem 47. Dowiedziałam się, że trzeba siedzieć na miejscu, ponieważ lista jest sprawdzana co 2-3 godziny, a osoby nieobecne skreśla się.

Przesiedziałam całą noc. Nie wszyscy byli tak wytrwali, więc znalazłam się w pierwszej dwudziestce. Wcześniej zainteresowani kupnem chodzili na stację PKP kilkakrotnie, by sprawdzić czy jest węgiel. Był wagon węgla (około 60 ton) i dwa wagony koksu (...) Kierownik zjawił się o godz. 7.20, przed nim — fakturzystka, która oświadczyła, że węgla nie ma. Zaprotestowaliśmy: „— Jak to nie ma? Jest na stacji!" Po chwili fakturzystka zmieniła zdanie: — „Jeżeli jest to będzie! A może nie..." Po kilkunastu minutach kierownik informuje: — „Jest węgiel, 20 osób z listy kupi, ale dopiero jutro".

Niewiarygodne, ale prawdziwe: dopiero jutro! Zapytałam o przyczynę zwłoki. W odpowiedzi usłyszałam: „— To nie moja decyzja, lecz Prezesa".

Ktoś z kolejki dowiedział się, że dwie wywrotki będą dziś wozić węgiel, więc może kupimy. Faktycznie około godz. 11 węgiel przewieziono ze stacji. Ale kierownik decyzji nie zmienił. Zdesperowani rolnicy zaproponowali kierownikowi, by przynajmniej zgodził się na zostawienie listy i bez kolejnego nocnego czekania sprzędał jutro węgiel, bo przecież już swoje odstali. Nic z tego! Kierownik obruszył się: „— Ja wam listy nie będę pilnował".

[...] W trakcie dnia samochody woziły ziemniaki i nawozy mineralne. Niektórzy rolnicy pocieszali się więc, że jak postoją jeszcze pół dnia i następną noc, to przy okazji kupią i nawozy (w tym dniu nie było faktur z aktualnymi cenami). Druga noc bez zmian — niektórym pozwolono iść się przespać, ale tylko do godziny czwartej.

19 października o 7.30 ustawiły się trzy kolejki: po węgiel, ziemniaki i nawozy (na polifoskę wczoraj nie było rachunku, a dziś jej nie ma!). Ziemniaki kupiło kilku szczęśliwców. Węgla starczyło dla 20 osób z listy i pięciu emerytów. 20 ton zostawiono w rezerwie, bo przecież nie wszystkim przystoi spędzić kilkadziesiąt godzin w kolejce.

Szanowna redakcjo! Wydrukuj ten list, może kilku panów prezesów GS wymyśli coś, aby rolnicy mogli kupować węgiel (za swoje ciężko zarobione pieniądze) bez koczowania nocami. A ludzie, którzy tam pracują, może w końcu sobie uświadomią, iż mają zatrudnienie tylko dzięki rolnikom. Jeżeli nasze sprawy są im obce, niech rozglądną się za innymi posadami.

Od redakcji: Z wielkim zaciekawieniem czekamy, kogo poruszy opisana wyżej mitręga, na którą wystawiono ludzi spracowanych. Tyle instytucji kontrolnych, tyle organizacji, urzędów i partii ma pełną buzię frazesów o godności człowieka, o służebności wobec świata pracy, o racjonalizowaniu życia społecznego! Kto pospieszy z pomocą konkretną?

● Pan **Andrzej Zieliński** z Zagórzan w imieniu pracowników kilku gorlickich zakładów pisze o kłopotach komunikacyjnych po godzinie 22 na trasie Gorlice-Moszczenica (przez Zagórzany):

Do tej pory nie mieliśmy trudności przy powrocie z pracy do domu, korzystaliśmy z autobusu WPK. Kursował on od godz. 4.50, a po godz. 21.20 przechodził na przewóz zamknięty wynajmowany przez Fabrykę Maszyn „Glinik". Od 1 października Fabryka odmówiła wynajmowania i uruchomiła własny kurs zamknięty, zaś dotychczasowi pasażerowie WPK — mimo płacenia biletów miesięcznych — są po godzinie 22 pozbawieni możliwości powrotu do domu. Obecnie autobus do Moszczenicy kończy jazdę o godz. 20.10.

Łatwo sprawdzić, ilu pasażerów jest zainteresowanych powrotem po godz. 22 (wystarczy policzyć ilość biletów miesięcznych). Kierownik Zajezdni tłumaczy, że nie ma paliwa, i że zależy to od wojewody (tak jakby wojewoda nie miał ważniejszych spraw na głowie i musiał decydować o ostatnim kursie autobusu do Moszczenicy).

Zapytuję, czy autobus nr 15 (Gorlice — Zagórzany Stacja) nie mógłby po godzinie 22 wejść na linię nr 11 i przejechać tych kilka przystanków dalej?

Interweniowaliśmy w PZPR, w „Solidarności" i — poprzez nasze zakłady pracy — u wojewody. Nie otrzymaliśmy dotychczas odpowiedzi.

Od redakcji: Czynimy zadość życzeniu naszego korespondenta i list publikujemy. Odpowiedź teraz pewnie nadejdzie. Oby pomyślna.

● W imieniu dyrekcji sądeckiego oddziału PKS mgr **Władysław Krok** zapewnia, że list pani **Anny Trzcińskiej** drukowany tutaj we wrześniu spowodował upomnienie kierowcy prowadzącego brudny autobus. Natomiast pani **Halina Pierzchała** z Kadczy nie będzie chyba usatysfakcjonowana poniższą odpowiedzią dyrekcji PKS:

Z przykrością potwierdzamy słuszność zarzutów. Pomimo wprowadzenia na trasie Kadcza-Nowy Sącz trzynastu kursów w godz. 6 — 8 oraz autobusów o dużej pojemności — potrzeby przewozowe nie zostały zaspokojone.

Występujące przypadki opóźnień, a nawet odwołań niektórych kursów, mają miejsce na skutek trudności taborowo-technicznych.

W aktualnej sytuacji gospodarczej [...] nie należy oczekiwać istotnej poprawy w tym względzie w najbliższym czasie. Nie jest również tajemnicą, że ilość sprzedanych biletów miesięcznych znacznie przekracza zdolności przewozowe PKS w godzinach szczytów przewozowych, co powoduje, że bilety te nie posiadają godzin przejazdów w określonych kursach i są ważne w dowolnym czasie. Obowiązujące przed laty zasady sprzedaży biletów na określone kursy w ograniczonej ilości, zostały zniesione (przed 11 laty). Zasady te były jednak krytykowane, bowiem znaczna część wniosków osób uprawnionych do nabycia biletu miesięcznego załatwiona musiała być odmownie.

Naprzeciw wątpliwościom

Spółdzielcy pytają, prezes odpowiada

W poprzedniej publikacji pt. *Dlaczego tak drogo?* przedstawiliśmy argumenty kierownictwa Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Poprosiliśmy też członków Spółdzielni, by nadesłali swoje opinie, spostrzeżenia i zapytania. Odzew był niewielki — wpłynęło do redakcji tylko kilka listów. Dziś odpowiada na nie prezes Spółdzielni, **Andrzej Żelasko**.

★

— Z dnia na dzień rosną prawie wszystkie ceny. Spółdzielnia też podwyższyła nam czynsze. Czy musi to odbywać się kosztem lokatorów? Czy Zarząd ma jakiś program oszczędnościowy? Jeżeli tak, to na czym on polega?

— Programy oszczędnościowe są nonsensem. Uważam, że powinno się tak gospodarować, żeby było dobrze i tanio. Gdy już się coś zaplanowało, nie można z góry zakładać jakichś oszczędności, gdyż świadczyłyby one, że plany są byle jakie. Sprawozdania z realizacji programów oszczędnościowych pochłonęły już tony papieru, ale czy dzięki temu rzeczywiście instytucje gospodarowały efektywniej?

— Ostatnio ludzi ogarnął szał wykupywania mieszkań. Jakie korzyści ma z tego spółdzielnia?

— Rzeczywiście, wielu lokatorów pragnie wykupić mieszkania na własność. We wrześniu wpłynęło do nas trzysta podań, w październiku już ponad pięćset, zaś w listopadzie spodziewamy się nawet tysiąca. Ludziom, którzy chcą gdzieś ulokować pieniądze, opłaca się kupić mieszkanie, gdyż jest ono jeszcze w miarę tanie. Mieszkanie (50 m kwadratowych) w osiedlu Milenium kosztuje od 700 tys. zł do miliona złotych, natomiast na czarnym rynku osiąga astronomiczne ceny. Większość zysku ze sprzedaży mieszkań odprowadzamy do banku w ramach spłaty kredytu, pozostałą część przeznaczamy na remonty spółdzielczych bloków. Dzięki temu mogliśmy nie zwiększać czynszów aż tak znacznie, jak to miało miejsce w innych spółdzielniach. Chciałbym jednak zaznaczyć, że wykupienie lokalu nie zwalnia jego właściciela od płacenia czynszu. Tymczasem zdarza się, że niektórzy świeżo upieczeni właściciele oddają książeczki czynszowe myśląc, że będą mieszkać za darmo. A kto miałby za nich pokryć koszty utrzymania bloku i osiedla, wywozu śmieci, oświetlenia, ogrzewania klatek schodowych itp.?

Przy Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej jest pełnomocnik do spraw sprzedaży mieszkań za dewizy. M-2 kosztuje około 4100 dolarów i 6 mln zł. Chętnych nie brakuje, tym bardziej, że kupno lokalu tą drogą zwalnia od podatku. Nasza spółdzielnia ma odpis dewizowy, z którego korzystamy na przykład przy zakupie trudno dostępnych na rynku urządzeń wymagających „wsadu dewizowego".

— Co spółdzielnia robi z właścicielami mieszkań, którzy sami w nich nie mieszkają, lecz wynajmują je po słonych cenach (jak to ma na przykład miejsce z M-2 przy ul. Sucharskiego 56/36 czy lokalem przy ul. Marii Konopnickiej)?

— Przede wszystkim musimy udowodnić właścicielowi, że nie mieszka w przyznanym lokalu. Potem sprawę kierujemy do sądu, dla którego jednak nawet stwierdzenie kilkakrotnej nieobecności lokatora w mieszkaniu nie jest dostatecznym dowodem. Jeżeli uda się nam stwierdzić, że dana osoba posiada drugi dom, możemy starać się o jej eksmisję. Niestety, raczej wszystkie te działania z góry skazane są na niepowodzenie. Jeżeli chodzi o podane przykłady, to lokatorka mieszkania przy ul. Konopnickiej miała zgodę spółdzielni na podnajęcie na rok mieszkania, gdyż sama opiekowała się chorym ojcem (w Grybowie). Zaś lokal przy ul. Sucharskiego był już kilkakrotnie przez nas i dzielnicowego kontrolowany i stwierdziliśmy, że właścicielka pojawia się w nim co jakiś czas.

Spore problemy mamy także z tzw. „dzikimi lokatorami". Służby prezydenckie nie przeprowadzają eksmisji, tłumacząc się brakiem lokali zastępczych. Kobieta, która włamała się do lokalu w osiedlu Westerplatte dostarczyła zaświadczenie, że ma skłonności samobójcze, nikt więc nie chce się podjąć eksmisji. Ona zaś bezczelnie mi powiedziała, że gdyby wiedziała, iż M-2 jest takie małe, to zajęłaby M-4.

— Niektóre urządzenia wymieniane przez spółdzielnię w ramach amortyzacji są jeszcze zdatne do użytku. Często handlują nimi konserwatorzy, czy nie lepiej byłoby sprzedawać te junkersy lub kuchenki gazowe w ramach przetargu?

— Spółdzielnia to zakład usługowy dla lokatorów i na ich zlecenie wymieniamy urządzenia techniczne w mieszkaniach. Jest to jednak coraz trudniejsze, gdyż prawie nieosiągalne są baterie, miski klozetowe, wanny, junkersy czy kuchenki gazowe. Za to na giełdach można kupić — oczywiście po słonych cenach — fabrycznie nowe urządzenia. Dlaczego nikt nie sprawdza, skąd pochodzą?

Urządzenia, które wymieniamy, należą do lokatora. Zdarza się jednak, że każe on konserwatorowi wynieść urządzenie na śmietnik, a ten wymontuje jakąś niezużytą jeszcze część... W większości jednak są one tak wyeksploatowane, że nadają się wyłącznie na złom.

— Jak pan prezes ocenia efektywność wykorzystania pracowników fizycznych w spółdzielni? Z „kanciapy" konserwatorów nieraz dochodzą odgłosy libacji, co świadczy o tym, iż mają oni zbyt wiele czasu...

— Do tej pory nie otrzymaliśmy wiarygodnych sygnałów na ten temat. A przecież żeby móc karać — trzeba mieć dowody. Gdyby ktoś rzeczywiście widział pijanych konserwatorów, najlepiej zawiadomić Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych i wtedy nie będzie podejrzeń, iż chcemy zatuszować sprawę.

— Jak często wymieniany jest piasek w piaskownicach? Czy w spółdzielni pracuje jakiś specjalista odpowiedzialny za organizowanie w osiedlach placów zabaw oraz wypoczynku dla dzieci i młodzieży?

— Piasek wymieniamy raz do roku. Staramy się także naprawiać urządzenia na placach zabaw, ale z braku stali i tarcicy prace się opóźniają. Zresztą urządzenia zabawowe, a zwłaszcza huśtawki, są systematycznie dewastowane wieczorami przez wyrostków. Nie mamy w spółdzielni osoby odpowiedzialnej za organizację placów zabaw. Ich projekty wykonuje „Inwestprojekt". Zdarza się jednak, że trzeba plany zmieniać, gdy na przykład lokatorzy protestują i nie chcą pod oknami placów zabaw. Staramy się zapewnić dzieciom z osiedli rozrywkę, organizując różne zawody, konkursy, kółka zainteresowań, wycieczki czy półkolonie.

— Jak można usprawnić przepływ informacji pomiędzy zarządzem a spółdzielcami? Może za pomocą biuletynów lub „Dunajca"?

— Biuletyny i ulotki są — niestety — bardzo kosztowne. Najbardziej odpowiadałyby nam łamy „Dunajca". Szybki i rzetelny przepływ informacji z Zarządu do spółdzielców jest konieczny. Trzeba wytłumaczyć przyczyny takich, a nie innych decyzji, wskazać na sposoby oszczędzania gazu, wody, energii elektrycznej. Niedawno, na przykład, dowiedzieliśmy się, że od listopada drożeje centralne ogrzewanie (średnio o 20 zł za metr kwadratowy). Przez dwa miesiące spółdzielnia założy 16 mln zł za lokatorów, a od przyszłego roku znów trzeba będzie podnieść czynsze.

— Poczęstunek dla obecnych na zebraniu przedstawicieli członków spółdzielni 16 czerwca br. kosztował 149 288 zł. Kwotę tę wkomponowano w czynsze. Czy trzeba było podawać kawę? Czy rzeczywiście — jak wynika z rachunku — 170 osób wypiło 393 filiżanki? Czy nie mogła to być herbata?

— W wymienionym zebraniu uczestniczyło około 60 osób. Nie wiem czy poczęstunek kosztował 150 tys. zł, ale nawet gdyby tyle wyniósł, to w przeliczeniu na 380 tys. metrów kwadratowych powierzchni spółdzielczych mieszkań są to setne groszy. Czy musieliśmy podawać kawę? Uważam, że ludziom, którzy siedzą na zebraniu poświęcają swój czas, należy się jakaś rekompensata.

— W każdym mieszkaniu powinien być wodomierz, czyją winą jest ich brak? Dlaczego Spółdzielnia przyjmuje przy naliczaniu czynszów zużycie 8 m sześciennych wody na mieszkańca, a nie 7 m sześciennych (jak to ustalono w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa)?

— Wodomierzy nie możemy kupić. Jesteśmy w kontakcie z poznańską firmą, która je produkuje, ale na razie transakcja nie doszła do skutku. Zdajemy sobie sprawę, że idealnym rozwiązaniem byłyby także liczniki gazowe przy każdym mieszkaniu, ale i te urządzenia są niedostępne na rynku. Zresztą uważam, że przede wszystkim powinny się o nie starać firmy dostarczające nam wodę i gaz, tak jak to ma miejsce w przypadku elektrowni. Naliczamy 8 m sześciennych zużycia miesięcznie wody na głowę mieszkańca, gdyż tyle wychodzi nam z obliczeń.

— Dlaczego zużycie wody, gazu i centralnego ogrzewania oblicza się według wielkości mieszkania, a nie ilości zamieszkujących je osób?

— Przymierzamy się do takiej właśnie zmiany systemu naliczania. Najprawdopodobniej wprowadzimy to już w przyszłym roku. Ostateczna decyzja, czy wprowadzać nowy system, zależy od Rad Osiedlowych. Z pewnością jedni będą z tego zadowoleni, zaś inni (na przykład rodziny wielodzietne) mogą protestować.

— Dlaczego Rada Nadzorcza sankcjonuje wypłacanie diet za prace społeczne, które nie dają żadnych efektów?

— Członkowie Rady otrzymują 600 zł za udział w zebraniu, zaś przewodniczący — 900 zł. Myślę, że w porównaniu z dietami radnych, a przede wszystkim posłów, są to sumy niewielkie.

Notowała DANUTA BINEK

KACik pptk. Glińskiego

Niewdzięczni goście

— *To wszystko przez to, że skusiło mnie małe z pianką* — rozpamiętywał później Władysław K. — *Dzień był pogodny, pracy miałem od rana ogrom, to i zaschło mi w gardle. Poszedłem je przepłukać. Pan Antoni przyniósł piwo migiem. Chłodne, z pianką, takie jak być powinno. Gdy już zaspokoiłem pierwszy apetyt, zacząłem rozglądać się po sali. Wtedy dosiadł się do mojego stolika jakiś młodzieniec. Pogadaliśmy o tym i owym, w sumie mało ważnym, aż w końcu zapytałem, co tu porabia, bo widać było, że nietutejszy. Odparł, że jest przejazdem w drodze do Zakopanego, gdzie chce wynająć lokum na okres sylwestrowy, gdyż Nowy Rok pragnie witać ze swoją dziewczyną pod Giewontem. Z głupia frant powiedziałem wówczas, że i moja żona wynajmuje kwatery. On na to, że wprawdzie Rabka to nie Zakopane, ale kwaterę może obejrzeć, a nuż mu się spodoba. Wypiliśmy jeszcze po piwie i poszliśmy.*

Żona wzięła gościa na obchód pokoi. Jeden z nich widocznie przypadł mu do gustu, bo szybko zdecydował się, że wynajmuje. Żona zrobiła herbatę i Piotrek — bo tak miał na imię nieznajomy — zasiedział się. Został więc na noc, a potem zdecydował, że pobędzie u nas jeszcze kilka następnych dni. Później trochę zaczął opowiadać o sobie. Powiedział, że pracuje w firmie polonijnej, gdzie jest osobą wysoko ustosunkowaną i od niego wiele zależy. Że ma ojca w erefenie i najprawdopodobniej za czas jakiś pojedzie na saksy. Nasz Jacek, który jest też mechanikiem samochodowym, chciwie nadstawiał ucha, aż żona zapytała wprost gościa, czy nie mógły pomóc synowi w urządzeniu się. Od razu wyraził zgodę, dał adres swojej firmy i obiecał, że z szefem załatwi przyjęcie. Nie wykluczał też możliwości wyjazdu do Niemiec Zachodnich.

Po paru dniach Piotrek czuł się u nas jak u siebie w domu. Zaglądał wszędzie, gdzie zaglądać nie powinien. Aż zaczęły mnie na to nerwy ponosić. Żona jednak uspokajała: „nie trzeba Jackowi szkodzić".

Pewnego dnia, gdy wróciłem z miasta, zastałem żonę we łzach. — „Co jest" — pytam. Płacząc wskazała bawy w dyskotece w „Zdrojowej". Potem udał się do kumpla Krzyśka — poznanego w „kiciu" — i u niego zanocował. Następnego dnia znów znalazł się wśród towarzystwa poznanego w dyskotece — Moniki, Lucka, Marty i Kazka. Znów porządzono na dyskotece, a potem przeniesiono się do prywatnego „lokalu" pewnego „emeryta", gdzie świętowano do białego rana. Bo jak się bawić to do porannego tańca-wygibusa, jak pić, to do dna. Po takim piciu Piotrkowi K. zabrakło już pieniędzy, towarzystwo pożegnało go więc oziębłe. Znów musiał udać się do wypróbowanego kumpla Krzyśka. Następnego dnia, już w nastroju znacznie gorszym, powlókł się do „Zabornianki" i tu został zatrzymany.

Piotr K. nie był postacią obcą w przestępczym środowisku. W roku ubiegłym dokonał napadu rabunkowego na staruszkę w Andrychowie i za czyn ten został potraktowany przez sąd według zasług. Zmuszony był odpokutować, jednak — w ramach świadczeń resocjalizacyjnych — udzielono mu przerwy w odbywaniu kary. W domu rodzinnym przemieszkał podczas przepustki przez kilka dni, a gdy nadeszła pora powrotu do Zakładu Karnego — ucałował matkę w rękę, obiecując poprawne sprawowanie. Słowa jednak nie dotrzymał. Zamiast do miejsca odosobnienia, wybrał się w rejs po Polsce i tak dotarł do Rabki, gdzie zachciało mu się piwa.

— *Inaczej do tych przybyszów trzeba podchodzić, inaczej* — stwierdził Władysław K.

★

— *Wszystko zaczęło się od tego telefonu* — powie później pani Jolanta, dyrektorka domu wczasowo-administracyjnego w jednej z podsądeckich znanych miejscowości wypoczynkowych. — *Zadzwonił pan. R. sprawujący funkcję kierowniczą w centrali i poprosił, by synalkowi wynająć pokój. I choć był to szczyt sezonu letniego, jakżeż mogłam odmówić? Przecież od Warszawy sporo zależy... Poszukałam i znalazłam. Zaraz potem pojawił się Marcin. Czy był w stanie coś ukraść? Nie sądzę. Sprawował się całkiem przyzwoicie, był czynny, chętny do pomocy. Nie, chyba nie ukradł.*

— *Rano poszłam do pracy, tak jak koleżanki* — to z zeznań poszkodowanej Alicji. — *Całe piętro budynku, w którym mieszkamy, było więc puste. Drzwi zamknęłam, jak zawsze, na zamek „łucznik". Po południu wróciłam do pokoju i zastałam go w opłakanym stanie: zamek wyrwany z zaczepów, drzwi rozbebeszone. Od razu pobiegłam do dzbanuszka na półce. Tam miałam całą swoją biżuterię. Złote pierścionki, łańcuszek, kolczyki. Dzbanuszek był pusty. Siadłam i zapłakałam. Zniknęło wszystko, co posiadałam z rzeczy bardziej wartościowych. Łącznie — licząc w cenach czarnorynkowych — około trzech milionów złotych. Kto ukradł? Czy Marcin? Trochę faktów mogłoby potwierdzać, że to on. Nie jestem jednak całkiem pewna.*

Milicja zainteresowała się jednak Marcinem R. Okazało się, że w przewidywanym terminie do miejsca zamieszkania nie dotarł. Rodzina twierdziła, że gdzieś się w Polsce zawieruszył, choć można było przypuszczać, że jest przez nią skrzętnie ukrywany przed poszukującymi go funkcjonariuszami. Aż w końcu milicja namierzyła domniemanego sprawcę kradzieży i sprowadziła do Nowego Sącza.

— *Przed wyjazdem nagle zdecydowałem, że dokonam włamania* — wyznał. — *Zdając sobie sprawę, że nikt mnie nie może o takiej porze zobaczyć, poszedłem tam, gdzie zamieszkiwały dziewczyny. Wiedziałem, gdzie jest biżuteria. Wywaliłem drzwi i zabrałem to, po co przyszedłem. Potem złoto sprzedałem cinkciarzowi za jedyne 200 tys. złotych.*

— *I jak tu wierzyć ludziom, nawet tym polecanym z centrali?* — zastanawia się teraz pani Jolanta, szczerze współczując swej okradzionej pracownicy. — *Jak tu wierzyć?*

Szczepan Mikruta

JERZEMU KUKUCZCE i innym

Wspinasz się wciąż
samotnie
coraz wyżej
po ostrych
krawędziach życia
wyszukujesz
coraz trudniejsze
nie przetarte szlaki
zdobywasz
kolejne szczyty
i zaszczyty
wspinasz się nadal
uparcie
ku swemu przeznaczeniu
po co
pewnego dnia
zawisasz
wczepiony w rozpacz
spoglądasz w górę
spoglądasz w dół
chciałbyś być tam
i tu jednocześnie
wisisz na pajęczynie woli
długo
nieruchomo
bo nie ma już gdzie
zrobić następnego kroku
nikt nie podaje ci ręki
akt desperacji
odpadasz
krzyk
milczenie
osiągasz
najwyższe głębiny

LUCYNA KASZUBA

W TANIEJ KUCHNI

Przez ponure podwórze starej sądeckiej kamienicy przy ulicy Kościuszki przechodzi codziennie ponad stu ludzi. Staruszkowie w przyniszczonych ubraniach, dzieci w rozmaitym wieku, młode kobiety i zadbane starsze panie. Tania kuchnia od lat prowadzona przez Polski Komitet Pomocy Społecznej ma wielu stałych klientów.

W dwóch małych salkach, przy stolikach nakrytych ceratą — kilkanaście osób. Pod okienkiem, w którym wydaje się posiłki — tłok. Dziś — rosół z makaronem oraz porcja gotowanego kurczaka z ziemniakami i ćwikłą. Blada dziewczynka z mysimi warkoczykami przycupnęła w kącie nad talerzem. Cienkie nóżki z trudnością sięgają podłogi z niewysokiego stołka. Poprawia umieszczone obok menażki: — *Biorę obiady dla chorej mamy i rodzeństwa. Mam trzech braci i trzy siostry. Muszę się śpieszyć, by długo nie czekali.*

Siedemdziesięcioletni mężczyzna w wyszarzałym kolejarskim mundurze stołuje się tutaj od dwóch miesięcy: — *Renta niewielka, trudno z niej wyżyć, zwłaszcza że mam na utrzymaniu żonę. Do niedawna jakoś sobie radziliśmy, ale teraz brakuje nawet na chleb. Najbardziej boli to, że po przepracowaniu blisko czterdziestu lat trzeba korzystać ze społecznej pomocy. Ciężko harowałem, nie piłem i nie bawiłem się, wychowałem dwójkę dzieci i na starość zostałem sam z żoną. Wiem, że w podobnej lub gorszej sytuacji jest wielu ludzi.*

Pochylona staruszka zagląda do menażki. — *Staram się zawsze coś zaoszczędzić z obiadu na kolację. Czasem nawet zostaje odrobina jedzenia na śniadanie. Przeżyłam prawie osiemdziesiąt lat i nie mam wielkich wymagań. Nie wiem, jak bym sobie poradziła, gdyby nie tania kuchnia. Czterdzieści tysięcy złotych na miesiąc to niewiele. Wszystko drogie. Najbardziej obawiam się zimy — trzeba zdobyć opał, więcej płacić za światło. Może jeszcze wytrzyma do wiosny stary płaszcz.*

Starsze panie w oryginalnych kapeluszach gawędzą przy stoliku pod oknem. — *Od dawna kupujemy tutaj obiady. Nie opłaca się gotować tylko dla siebie. Kuchnia dobra, panie kucharki chętnie dokładają zupy i ziemniaków, nie mierzą porcji na dekagramy, jak w restauracjach* — chwali jedna z pań. — *Gdzie można zjeść dwa dania z kompotem za tysiąc złotych?* — dodaje druga.

Modnie ubrane dziewczęta zabierają pełne menażki. To uczennice Liceum Medycznego, które od niedawna roznoszą posiłki chorym podopiecznym PKPS. Ich uśmiechnięte twarze kontrastują ze smutnymi oczami zabiedzonych dzieci i starych ludzi.

Ponad dwadzieścia lat kierowniczką taniej kuchni jest **Zofia Sowa:** — *Coraz więcej ludzi przygania do nas bieda. Wydajemy sporo darmowych posiłków, część sprzedajemy po symbolicznych cenach. Chętnie widzimy stołowników, którzy płacą pełną stawkę. Im więcej zdobędziemy pieniędzy, tym lepiej — będzie można pomóc biednym, których wciąż przybywa. Trzy razy w tygodniu są dania mięsne, trzy razy — jarskie. Kucharki starają się, by wszystko smakowało jak w domu.*

Tania kuchnia to ratunek dla wielu rencistów i emerytów, dużo wielodzietnych i samotnych kobiet wychowujących dzieci.

Podopiecznych przysyła ZOZ, czasem sądy, pracownicy socjalni społecznych instytucji. Stąd biorą obiady siostry PCK oraz opiekunki PKPS. Pani Zofia widziała już niejedno. Wielu stałych klientów (niektórzy przychodzą tutaj od dwudziestu lat) ma za sobą rodzinne tragedie. Wychowali dzieci, które dorobiły się majątków i stanowisk, a dziś nie chcą znać rodziców. Jeden z podopiecznych, starszy mężczyzna, który przez lata nie mógł wyrobić sobie renty (długo chorował, a potem rodzina chciała go umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych), sam się zgłosił i zaproponował: *będę robił wszystko w zamian za obiady*. Sprzątał, woził towary, wykonywał rozmaite drobne naprawy. Teraz już otrzymuje rentę. Przychodzi nadal do taniej kuchni, lecz nie chce żadnych ulg, płaci pełną stawkę: — *Pomagano mi przez wiele lat, teraz ja mogę pomóc innym.*

Wiele dla placówki zrobił sądecki rzemieślnik, **Leopold Cisoń** — bezinteresownie podejmował się wszelkich napraw i nadal chętnie służy pomocą. Spółdzielnia „Przełom" też od dawna pomaga, dostarczając ścinki drewna na opał. Pani Zofia chwali Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską „Ziemi Sądeckiej" za dostawy warzyw i owoców oraz NZPS „Podhale" i zakłady obuwnicze „Chełmek", które niejednokrotnie dostarczały obuwia dla biednych.

Gdyby jeszcze udało się zdobyć większą zamrażarkę na którą nie ma środków, ucieszyłyby się panie z kuchni, którym szefuje **Helena Szczepaniak.** Pracują za małe pieniądze (niewiele większe niż emerytury części klientów), w trudnych warunkach.

Sekretarz Zarządu Wojewódzkiego PKPS, **Małgorzata Marciszewska** często zagląda do kuchni. Urzęduje na II piętrze tego samego budynku. Sen z powiek spędzają kłopoty finansowe. Przybywa potrzebujących, a środków coraz mniej, bo wszystko drożeje.

Z Krynicy przyjechał akurat **Czesław Sip:** — *Na naszym koncie prawie pusto. Coraz więcej wydaje się darmowych posiłków. 200 tysięcy złotych przeznaczyliśmy dla pogorzelców. Liczymy na pomoc zakładów pracy i prywatnych ofiarodawców. Od PPU otrzymaliśmy koce, kołdry i chodniki, niedawno emeryt, pan Szopa, ofiarował 30 tys. złotych. Potrzeby jednak rosną, coraz trudniej pracować. Miałem wspaniałą pomocnicę, założycielkę PKPS w Krynicy, Marię Kurkowską* — *dziś już nieżyjącą. Zastąpiła ją inna wspaniała kobieta, Teresa Stępka, nie szczędząca czasu i sił by, pomagać biednym.*

W 47 placówkach w regionie pracują głównie społecznicy, a etatowo zatrudnia się tylko osiemnaście osób. Ponad dziewięciuma tysiącami chorych i samotnych zajmuje się 120 opiekunek. — *Rozwijamy tzw. pomoc sąsiedzką — mało kto jednak za 10 tysięcy złotych chce doglądać sąsiada i robić zakupy. Tylko w Sączu i Nowym Targu są tanie kuchnie. W innych miejscowościach ubodzy korzystają z posiłków wydawanych w szpitalnych, wczasowych i szkolnych stołówkach oraz w barach. Nie konkurujemy z PCK, staramy się współpracować. Biedy jest tak wiele, że różne organizacje charytatywne mają co robić. Byle tylko nie zabrakło środków. Minęły już czasy, kiedy z zagranicy napływały hojnie dary. W naszych magazynach nie ma teraz wiele towaru. Przyjmujemy wszystko — używaną odzież, także sprzęty gospodarstwa domowego, meble. Finansowymi datkami zasiliły nas ostatnio — firma ubezpieczeniowa „Vesta" oraz Zrzeszenie Transportu Prywatnego. Od niedawna mamy sojuszników w Holandii; przywożą dary zebrane wśród znajomych. Organizujemy dla biedniejszych rodzin sprzedaż odzieży po niskich cenach* — dodaje M. Marciszewska.

Oto konto ZW PKPS: Bank Przemysłowo-Handlowy, Oddział Nowy Sącz, nr **324803-6158-132.**

ANNA SZOPIŃSKA

ŁASKAWY CHLEB

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

jeszcze w szkołach podstawowych nr 3, 5, 1, 11, bo w sytuacji ubożenia rodzin dzieci cierpią najbardziej. Jedyną wadą szkolnych zupek jest to, że Zarząd Wojewódzki PCK — sponsor przedsięwzięcia — zarządził gotowanie ich w oddzielnych garnkach, by można było dokładnie rozliczyć koszta. Może Zarząd Wojewódzki podejmie się też tłumaczenia każdemu dzieciakowi z blocznikiem, czemu dostaje na talerz co innego niż jego kolega, który wykupił obiady?... Zapewne prościej byłoby dofinansować szkolną stołówkę kwotą pokrywającą mniej więcej koszt wydawanych bezpłatnie zup i nie stwarzać różnic między dziećmi już w pierwszych klasach podstawówki.

★

Nowotarski Oddział Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej funkcjonuje półetatowo — dzięki p. **Jadwidze Kuś,** której przyszło prowadzić księgowość, dzielić odzież i buty między potrzebujących, ostatnio także załatwiać formalności związane z remontem pomieszczeń byłej pralni, przeznaczonych teraz dla PKPS. Z nawałem zajęć w instytucji (jak się okazuje, coraz bardziej nieodzownej) pomaga się borykać społecznie pracujący Zarząd. Trzy pokoje na parterze budynku przy ul. Waksmundzkiej założone są teraz paczkami z obuwiem, a odzież — porozwieszana na szafach, rozłożona gdzie się dało, częściowo jeszcze w kartonach. Ubrania, używane, ale w dobrym stanie, przysłali Szwedzi, zaś obuwie to przeważnie rodzime adidasy zwrócone producentowi w ramach reklamacji. Sporo jeszcze zostało tego dobra, choć już bardzo dużo odzieży wynieśli stąd najbiedniejsi. Nikt wskazany przez społeczne służby trudniące się wywiadem środowiskowym i opiniowaniem jako „potrzebujący" nie wyszedł bez pomocy. Zapomóg rozdzielono niewiele, bo tym zajmuje się w szerszym zakresie Dział Służb Społecznych ZOZ. Oddział PKPS prowadzi natomiast stołówkę. Wbrew fałszywemu wstydowi jednych i uśmiechom politowania innych, nie jest to „żebracza stołówka", lecz istotna forma pomocy dla tych, którzy nie radzą sobie z codziennymi zakupami i przygotowywaniem posiłków.

Na przykładzie stołówki PKPS udowodnić można doskonale, że małe jest sprawne. Cztery osoby zatrudnione w niepełnym wymiarze godzin (intendentka, kucharka, podkuchenna i woźny) zapewniają skuteczne funkcjonowanie jadłodajni karmiącej codziennie sześćdziesiąt trzy osoby. Zlokalizowana w rynku, z jedzeniem nie wykwintnym, ale smacznym, świeżym, zdecydowanie lepszym niż w barze — jest stołówka ostoją emerytów i dużym udogodnieniem dla innych korzystających z niej osób. Za jeden obiad płacą tu stołownicy nie więcej niż 1000 złotych, zaś najniższa opłata wynosi 134 złote (jeszcze do czerwca najbiedniejsi mogli zjeść za 20 złotych). Wysokość opłat uzależniona jest od wysokości rent czy emerytur podopiecznych (osoby, które znajdują się w szczególnie trudnej sytuacji, jedzą za darmo, a należność pokrywa Urząd Miasta). Z bezpłatnych posiłków korzysta teraz więcej niż trzecia część odwiedzających PKPS-owską stołówkę przy rynku. Pani Jadwiga zapewnia, że w razie potrzeby mogłoby się zmieścić jeszcze około dwudziestu osób, wtedy obsługa pracowałaby na pełnych etatach. A zaopatrzenie, dzięki sklepowi rozdzielczemu PSS, na razie nie szwankuje, zapasy węgla, ziemniaków i jarzyn na zimę — też są.

— *Potrzebujący byli i będą w każdym ustroju* — powiada kierowniczka Oddziału. — *Z nadejściem zimy może ich być jeszcze więcej. Wszystkim w miarę możliwości staramy się pomóc i dzielić między nich to, co jest. Dobrze, jeśli ludzie sami się zgłaszają, lecz muszą wpierw iść do Działu Służb Społecznych w Zespole Opieki Zdrowotnej — pracownicy ZOZ przeprowadzają wywiad środowiskowy i określają formę pomocy. Jest to konieczne, bo w trudnych czasach jedni robią się pazerni, innym wstyd nie pozwala prosić o pomoc. Zgłaszać mogą się także chętni do udzielenia wsparcia. Osobom, które wolałyby wpłacić pieniądze na konto, podaję numer: PKO Nowy Targ 49618-1687-132.*

PKPS korzysta w tej chwili z dotacji ministerialnych i z pieniędzy Rady Naczelnej PKPS przekazywanych za pośrednictwem Zarządu Wojewódzkiego, budżet miejski również partycypuje w kosztach wspomagania najuboższych. To Urząd Miasta wystarał się dla PKPS o pomieszczenia zwolnione przez pralnię — dosłownie za pięć dwunasta, bo właściciel budynku, w którym Oddział najmował parter, zdecydował się — korzystając ze zniesienia szczególnego trybu najmu — wyprowadzić spod swojego dachu opiekuńczą instytucję. W tej chwili mocno zdewastowane pomieszczenia byłej pralni rzemieślnicy nowotarscy remontują i przystosowują do wymogów stawianych placówkom zbiorowego żywienia, tu bowiem przeniesiona zostanie stołówka i biuro. Wtedy z tanich obiadów będzie mogło korzystać jeszcze więcej potrzebujących.

★

Na ścianach korytarzy Urzędu Miasta można tu i ówdzie spotkać przywieszony apel ministra Jacka Kuronia — *Wspólnie pomóżmy...* — Zastępca naczelnika miasta, **Jacek Szatko,** nie ukrywa, że fundamenty molocha spółdzielczości rysują się już i zaczynają pękać. PSS traci dzierżawione lokale — mści się teraz nieinwestowanie w budowę własnych placówek. Trzeba będzie jednak zrobić wszystko, by w interesie społecznym utrzymać bary w centrum i *nie przegrać* tych lokali, ale jeśli w ostateczności dojdzie do ich zlikwidowania, właściciele bloczków na darmowe posiłki mogą liczyć na bar przy al. Kopernika. Pytanie o rolę miejscowych władz w zachowaniu placówek taniego żywienia i moc „decyzji naczelnika" jest właściwie pytaniem o kompetencje i kształt samorządów terytorialnych, a więc należy do przyszłości.

Na razie Urząd Miasta finansuje remont pomieszczeń oddanych na potrzeby PKPS — roboty wykonują tutejsi rzemieślnicy systemem gospodarczym i jest szansa, że stołówka wraz z biurem przeniesie się tam do końca roku. Z budżetu miejskiego idą także pieniądze na stałe zasiłki dla około dwustu osób, na zasiłki jednorazowe i dopłaty do posiłków.

Zarząd Miejski PCK oczywiście nie zostanie na bruku, choć trudno na razie wskazać adres zastępczego lokalu. Rola czerwonokrzyskiej organizacji z pewnością będzie rosła, rozszerzą się też jej zadania.

Administracja państwowa musi teraz popracować nad skoordynowaniem całej działalności charytatywnej na terenie miasta i wygospodarować środki, bo nie sposób przewidzieć, jak bardzo powiększy się grono potrzebujących. Odbyła się już jedna narada, podczas której trzeba sobie było przypomnieć m.in. procedurę prawną kwesty. Z początkiem listopada znów usiądzie kompetentne grono nad sprawami pomocy społecznej i ochrony najuboższych, a w międzyczasie pewnie nie do uniknięcia będą konflikty między samymi potrzebującymi i skargi przy udzielaniu zapomóg, talonów czy innego dobra.

Cenne byłyby niewątpliwie doświadczenia i informacje sióstr zakonnych, od lat skutecznie i bez rozgłosu wspomagających najbiedniejsze rodziny, cenne doświadczenia ludzi z komitetów parafialnych rozdzielających żywność i leki. Uaktywnili się ostatnio w działalności charytatywnej także Zielonoświątkowcy, którzy wiele darów otrzymują z zagranicy.

Jeśli zadziała wzajemne wspomaganie — a w ludziach przecież jeszcze nie wyczerpały się pokłady współodpowiedzialności i współczucia — to najbiedniejszym łatwiej będzie przetrwać zimę, choć drżą w posadach różne instytucje i struktury, a warunki życia zmieniają się z dnia na dzień.

Leszek Zyzda

Sądeccy socjaliści (3)

W latach 1939—1940 kilku młodych nowosądeckich socjalistów poszło na kuriersko-przerzutowe szlaki — m.in. Franciszek Krzyżak, bracia Władysław i Kazimierz Świerczkowie wraz z Janem Żółcińskim — wiciarzem i zniczakiem, a poprzednio omturowcem. Żółciński przedostał się szlakami przerzutowymi do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a do kurierów PPS dołączył Tadeusz Ciastoń ps. „Hitol" z Nowej Kolonii. Na początku 1944 ujęto go na Słowacji i dostarczono nowosądeckiemu gestapo. Został rozstrzelany na cmentarzu żydowskim w Nowym Sączu.

Kierownikiem zespołu nowosądeckich kurierów na trasie Nowy Sącz — Słowacja — Budapeszt był por. Klemens Konstanty Gucwa ps. „Góral" z 1 PSP, powiązany z kolejarsko-pepesiacką i spółdzielczą rodziną Zenglów z Nowego Sącza. W odwet za działalność „Górala", poszukiwanego przez grenschutz i gestapo, bracia Eugeniusz i Antoni Zenglowie zostali aresztowani, a następnie zesłani do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, skąd już nie powrócili. Porucznik Gucwa również nie doczekał końca wojny. Ciężko ranny podczas przekraczania granicy słowacko-węgierskiej koło Koszyc, zmarł z upływu krwi i został przez polsko-słowacką rodzinę Molków pochowany na koszyckim cmentarzu.

Od kwietnia 1941 do początku 1942 roku zostało aresztowanych wielu nowosądeckich socjalistów — głównie maszynistów i palaczy parowozowych oraz konduktorów i kierowników pociągów — za działalność kolportersko-przerzutową oraz współdziałanie z kurierami. Wśród nich — maszyniści kolejowi Emanuel Kmieć, Władysław Bulanda i Józef Konieczny. Ten ostatni był przedwojennym, długoletnim działaczem PPS i ZZK, a wcześniej żołnierzem I Brygady Legionów. Udało się mu za pierwszym razem wydostać z więzienia gestapowskiego w Nowym Sączu, lecz nie powrócił do pracy w kolejnictwie. Ukrywał się początkowo u Wilhelma i Stanisławy Zyzdów oraz u Depów w Dąbrówce Polskiej, a później, wraz z młodszym bratem Kazimierzem i szwagrem — muzykiem Ignacym Wohlstalem, u swojej siostry — kierowniczki szkoły w Olszanie. Niestety, latem 1943 roku podczas obławy gestapowcy zastrzelili Kazimierza Konicznego i Wohlstala, zaś Józefa Konicznego wraz z całą pozostałą przy życiu rodziną zesłano do obozów koncentracyjnych w Płaszowie i Szebniach. Powrócili w styczniu 1945 roku do rodzinnego Nowego Sącza.

W kwietniu 1942 roku aresztowani zostali przez gestapo długoletni nowosądeccy przywódcy i działacze PPS — Jan Matkowski, Piotr Główczyk i Adolf Greń, później również Ryszard Mędlarski, którego gestapowcy w czasie śledztwa w więzieniu w Nowym Sączu w okrutny sposób zamordowali — ugotowali żywcem. Pozostali działacze wysłani zostali do Oświęcimia, skąd po wyzwoleniu powrócił tylko Adolf Greń.

Zostało aresztowanych również wielu innych kolejarzy — przedwojennych członków tej partii. Pośród nich — pod koniec kwietnia 1942 r. — Alfred Zyzda (w latach 1924—1928 członek zarządu Spółdzielni Spożywców Kolejarzy „Samopomoc" w Nowym Sączu), którego po blisko czterech miesiącach gestapo uwolniło z braku dowodów winy, nakazując meldować się co pewien czas. Wyczerpany fizycznie i psychicznie, wychudzony, pokaleczony, relacjonował co spotkało w śledztwie jego i współwięźniów. Gestapo zarzucało mu raz przynależność do podziemnej PPS-WRN, innym razem do PPR. Znał dobrze język niemiecki, lecz nie ujawnił tego, toteż podczas tłumaczenia mu pytań miał możność zastanowić się, co odpowiadać. W rzeczywistości w latach 1940—1942 nie należał do żadnej partii lub podziemnej organizacji, dopiero w latach 1943—1944 był rodzinnie powiązany z AK — z grupami partyzanckimi „Świerka" i „Tatara".

W ręce gestapowskie dostały się już na początku okupacji akta policyjne działaczy PPS, na długo przed drugą wojną światową podejrzewanych o działalność antysanacyjną i komunistyczną. O istnieniu takich akt przechowywanych w przedwojennym i powojennym MSW wspomina dr Stanisław Skrzeszewski, pisząc m.in. o szykanach policyjnych z lat 1926—1928 wobec działaczy PPS, głównie zatrudnionych w „Samopomocy" nazwanej porzez policję „jaczejką komunistyczną". Podejrzewano o to głównie pracowników Spółdzielni — Zawiłę i Annę Wohlstalową (z domu Konieczną). W owych latach w Spółdzielni pracował także Alfred Zyzda.

Z wypowiedzi zarówno Józefa Konicznego, jak i Alfreda Zyzdy dowiedzieliśmy się, że w czasie śledztwa ratował ich przed rozstrzelaniem jako zakładników lub przed wywozem do Oświęcimia pewien gestapowiec — z pochodzenia Austriak. Dowiedziawszy się, że byli w czasie pierwszej wojny światowej żołnierzami regimentu wojsk austriackich, w którym był oficerem jego ojciec — pouczał jak mają zeznawać. O tymże samym gestapowcu pisze w książce pt. *Wspomnienia kuriera* — Julian Zubek „Tatar".

Oprócz Jana Matkowskiego, Ryszarda Mendlarskiego, Piotra Główczyka i Adolfa Grenia — w podziemnej, kadrowej PPS byli jeszcze inni przedwojenni działacze socjalistyczni, między innymi Antoni Berger, Franciszek Krzyżak, Kazimierz Zabrza, Stefan Ryniewicz, a także młodsi, jak np. Julian Damasiewicz i Adam Knieć. Uniknęli aresztowań i pozostając na wolności, prowadzili działalność konspiracyjną i partyzancką.

Część PPS-owców zorganizowana była w ZWZ-AK. W szeregach tej organizacji znalazł się Wilhelm Zyzda — członek PPS z lat 1924—1939. Desygnowany był (jak już wspomniałem) przez partię w 1939 r. do cywilnej obrony przeciwpowietrznej, później został łącznikiem ZWZ-AK i współpracował z kurierami: Janem Freislerem „Ksawerym", Romanem Stramką „Romanem", Julianem Zubkiem „Tatarem", Adamem Ślepiakiem „Żarem" oraz partyzantami i wywiadowcami AK — por. Wacławskim „Domianem", por. Leonem Strzeleckim, ppor. Edwardem Siemiradzkim „Michałem", Leopoldem Fröchlihem-Rostockim „Niedźwiedziem", Janem Kamockim „Chomikiem" i Eugeniuszem Zillerem „Wyrwą" — leśniczym z Frycowej. Organizował wraz z nimi kadrowy oddział partyzancki AK „Świerka" w oparciu o robotniczą, kolejarską młodzież z dzielnicy Gorzków. Pomagali mu — bratanek Zbigniew Zyzda „Sęp" wraz z najbliższą rodziną i ojciec Alfred. Grupa ludzi z tego oddziału przeszła do oddziału „Zawiszy", a większa część weszła w skład formowanego na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. oddziału partyzanckiego „Tatara", rozwiniętego w IX kompanię 1 PSP AK „Tatara".

Niestety, działalność Wilhelma Zyzdy „Górala" przerwało aresztowanie go 19 sierpnia 1944 r. przez gestapo. W niecałe cztery tygodnie później został rozstrzelany, prawdopodobnie na cmentarzu żydowskim w Nowym Sączu. W czasie śledztwa zachował postawę godną Polaka i socjalisty, mimo najprzeróżniejszych tortur nie ujawnił nikogo z szerokiego kręgu konspiracyjnego.

Oddział partyzancki „Tatara" swoim składem socjalnym prawie nie różnił się od Gwardii Ludowej (PPS), ani od Armii Ludowej (PPR). W czasie okupacji Wilhelm Zyzda „Góral" utrzymywał także kontakty z dawnymi swoimi towarzyszami z PPS, głównie z Józefem Konieczny, Stefanem Ryniewiczem i Wojciechem Tyczyńskim — prezesem Spółdzielni Spożywców Kolejarzy „Społem" w Nowym Sączu, która mimo okupacji trwała nadal. Utrzymywał także kontakty z ludowym działaczem — mgr. Romanem Wojnarowskim.

Żołnierzami AK w Sądeczyźnie i Gorlicach było wielu synów przedwojennych działaczy i członków PPS — m.in. Władysław Michalus z Gorlic, syn Józefa, bracia Stanisław, Eugeniusz i Leopold Jaworowie, Zdzisław Porębski ze Starego Sącza, Zygmunt Główczyk „Bóbr", wymieniony już Zbigniew Zyzda „Sęp", syn Alfreda. Świadczy to o patriotyzmie PPS-owców i ich najbliższych rodzin, zwłaszcza dzieci wychowanych w duchu ojczyźnianym i demokratycznym, lecz jednocześnie antyfaszystowskim i antysanacyjnym. Gdy później (w latach 1945—1956) akowców przezywano „zaplutymi karłami reakcji", do napaści tych nie przyłączali się pepesowcy. PPS w latach 1946—1948 była rzecznikiem i propagatorem humanizmu socjalistycznego biorącego w obronę WRN-owców i AK-owców walczących z faszyzmem niemieckim, lecz jednocześnie zdecydowanie piętnowała i zwalczała terroryzm polityczny i pospolity bandytyzm elementów prawicowych, wstecznych i zdemoralizowanych. Miała owa partia własny osąd historyczny.

(ciąg dalszy nastąpi)

Józef Śliwa

Kogo wspiera PZU? (2)

Budowa remiz, ich modernizacja, rozbudowa i remonty to sprawy, którym wieś nowosądecka poświęca najwięcej — po drogach — uwagi oraz czasu i społecznych funduszy. Remiza potrzebna jest straży pożarnej — jako baza, a także miejsce, gdzie się prowadzi różnorodną działalność, wreszcie — jako symbol prężności działaczy. Do modernizacji i rozbudowy remiz skłania również wieś nadzieja uzyskania miejsca do pracy wielu organizacji społecznych. Remiza potrzebna jest młodym i starszym, strażakom i ich rodzinom, Kołom Gospodyń Wiejskich, Klubom Młodego Rolnika, organizacjom kulturalnym i politycznym. Jest dowodem zaradności, mądrości i kultury obywatelskiej mieszkańców.

PZU interesuje przede wszystkim ta część remizy, która stanowi tzw. zaplecze operacyjno-techniczne, a nie inne funkcje budynku. Jednak koszt utrzymania budynku jest wysoki, dlatego szukanie współużytkowników, którzy będą łożyć na utrzymanie remizy, jest konieczne dla pełnego wykorzystania pomieszczeń, codziennego ogrzewania w zimie i zatrudnienia osoby do utrzymania obiektu w czystości i gospodarczym ładzie. Lecz zawsze musi być jeden troskliwy gospodarz.

Tradycja ochotniczych straży pożarnych jest w naszym województwie bardzo długa. Wiele OSP ma historię 100-letnią i dłuższą. Wynika to z grozy, jaką wśród drewnianych budowli w zwartych wioskach — wywoływał pożar. Trzeba było dzień i noc czuwać, być gotowym do niesienia pomocy, do gaszenia , do ratowania ludzi i mienia. Straż cieszyła się i nadal cieszy wielkim uznaniem ludności wiejskiej. Ceni się strażaków, ochotników, bo to przecież ojcowie, mężowie, synowie tej wsi, biegnący na ratunek innym.

Ochotnicze straże pożarne są nadto propagatorami kultury na wsi, nie tylko przez użyczanie swych pomieszczeń, ale również przez organizowanie działalności kulturalnej i uczestniczenie w zespołach muzycznych, tanecznych, teatralnych itp. Cała ta działalność ma bezpośredni lub pośredni charakter prewencyjny, jest przy tym speliona z wychowaniem obywatelskim ludności wiejskiej, z poczuciem wspólnoty losu i zagrożenia. Świadomość tego narzuca określone sposoby współpracy z OSP, wspomagania finansowego i moralnego.

W latach 1976—1987 wybudowano w województwie 142 remizy. Wartość kosztorysowa tych prac wynosi 1 miliard 336 milionów 27 tys. złotych, w tym czyn społeczny 454 miliony 961 tysięcy złotych, zaś dotacja z funduszu prewencyjnego PZU — 224 miliony 776 tysięcy złotych. Działalność straży, którym udzielono pomocy finansowej przy budowie bądź rozbudowie remiz obejmuje 43 933 gospodarstw rolnych.

Czyn społeczny stanowi ok. 30 procent wartości tych zadań a jednocześnie jest dwukrotnie wyższy od dotacji PZU. Ponieważ obserwuje się w ostatnich latach dążenie do wznoszenia coraz to większych budynków, w których część operacyjno-techniczna zajmuje coraz mniejszy procent całej powierzchni — słuszne było ograniczenie dotacji PZU w stosunku do wartości kosztorysowej, zwłaszcza w stosunku do obiektów będących zlepkiem kilku budynków pod jednym dachem domu strażaka.

PZU wspiera dotacjami również budowę wodociągów wiejskich. W latach 1976—1987 budowano w naszym województwie 62 wodociągi zapewniające wodę pitną **dla 3311 gospodarstw rolnych.** Jednocześnie na liniach ciągów wodnych zainstalowano 725 hydrantów przeciwpożarowych. Wartość kosztorysowa powyższych inwestycji wynosi 941 milionów 464 tysięcy złotych. Ludność wiejska wykonała czyn społeczny wartości 209 milionów 987 tysięcy złotych. Państwowy Zakład Ubezpieczeń udzielił pomocy ze środków funduszu prewencyjnego w kwocie 153 miliony 153 tysiące złotych.

Budowa wodociągu wiejskiego trwa 3—5 lat. Koszty budowy w przeliczeniu na 1 gospodarstwo są bardzo zróżnicowane i wahają się od 100 tysięcy złotych do 1 miliona 200 tysięcy złotych. Zależy to od tego, jak odległe są źródła wodociągu i na ile gospodarstw rozkładają się koszty.

Oczywiste, że w pierwszej kolejności podejmuje się budowę wodociągów w miejscowościach o większej liczbie gospodarstw, gdyż koszt jednostkowy jest niższy niż w tych wsiach i przysiółkach, które grupują mniej gospodarstw do danego wodociągu.

Olbrzymia większość gospodarstw posiada własne ujęcia wody pitnej. Jedne mają studnie o dużej wydajności, położone w obrębie obejścia gospodarskiego, inne dalej od domu, jeszcze inne korzystają z tzw. miniwodociągów, wybudowanych własnym systemem wiele lat temu. Ale są i takie, które muszą donosić lub dowozić wodę z odległych źródeł lub studzien i nie zawsze mają pewność, że jej dla wszystkich starczy. Z tych powodów nie wszyscy mieszkańcy danej miejscowości są jednakowo zainteresowani budową wodociągu. Prym wiodą ci, którzy potrzebują najwięcej wody i mają duże kłopoty z jej donoszeniem lub dowożeniem. Właściciele gospodarstw hodowlanych zużywają codziennie znaczne ilości wody, i to przez cały rok. Wiele osób przekonuje się do budowy zbiorników wodociągowych, mimo że posiada własne studnie. Biorą pod uwagę ryzyko, że w studni może wody zabraknąć. Poziom wody gruntowej, a zatem i w studniach, obniża się z roku na rok. Wody natomiast potrzeba rolnictwu coraz więcej, więcej też zużywają jej mieszkańcy wsi dla potrzeb bytowych.

Budowa wodociągu to wielki wydatek dla gospodarstwa. Ale nie rezygnuje się pochopnie z możliwości przystąpienia do spółki. Dyskusje trwają długo, często latami. Warunkiem podjęcia konkretnych działań jest pozyskanie do współuczestnictwa wszystkich lub prawie wszystkich mieszkańców danego rejonu. Trzeba przecież wiedzieć, jak wielki zbiornik należy zbudować, aby wody starczyło dla wszystkich. Tych, którzy zbyt późno decydują się przystąpić do spółki — często nie można już do niej przyjąć ze względów technicznych.

Wyższość wodociągu zbiorowego nad indywidualnymi ujęciami — studniami jest oczywista. Niektórzy mieszkańcy wsi (pewni swoich studni) nie biorą pod uwagę ryzyka, jakie wynika z faktu, że studnie nie mają tzw. strefy ochronnej — sanitarnej. Przedostają się wówczas do wody zanieczyszczenia — najwięcej z własnego gospodarstwa. W okresie ulewy czy powodzi woda w studniach ulega nagłym i bardzo znacznym zanieczyszczeniom, przez wiele dni nie nadaje się do spożywania. Trzeba studnie czyścić ze szlamu i chlorować, co dezorganizuje prace w gospodarstwie i życie ludzi. Dobrze zbudowany wodociąg daje gwarancje bezpieczeństwa pod względem sanitarnym, dostawę wody czystej i zawsze w odpowiedniej ilości, zapewnia też dostatek wody dla celów gaśniczych.

Znamienne, że największymi orędownikami budowy wodociągów są kobiety. One bowiem najbardziej odczuwają trudy wynikające z braku bieżącej wody w domu i zagrodzie. Wodociąg ułatwia zorganizowanie wszelkich zabiegów higienicznych ludzi pracujących na wsi, szczególnie po ciężkiej i znojnej pracy. Dobra woda, to jednak nie tylko zdrowie dla ludzi. Dobra woda podawana hodowanym zwierzętom poprawia ich stan zdrowotny, a produkty otrzymywane od tych zwierząt są lepsze i zdrowsze. Nie można otrzymać dobrego, zdrowego mleka podając krowom złą wodę.

W razie pożaru — akcja gaśnicza może być błyskawicznie podjęta, bo pozwalają na to hydranty oraz instalacje wodociągowe prawie w każdym budynku gospodarstwa.

Wspieranie działań prowadzących do zwiększenia liczby wodociągów wiejskich ma zatem wielorakie znaczenie gospodarcze, zdrowotne, higieniczne.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Proszę o głos

Nawiązując do apelu Pohalańskiego Oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w sprawie nieingerowania w zabytkowe struktury sakralne na terenie Podtatrza, chcę zwrócić uwagę kompetentnych Czynników oraz Miłośników Ziemi Gorlickiej na skromną i prostą, acz piękną w swej prostocie przydrożną kapliczkę w Gorlicach.

Zbudowano ją prawdopodobnie w 1853 r. lub jeszcze wcześniej. Jest to murowany z cegły pokrytej tynkiem i pomalowanej wapnem na biało (wysokości około 2 m)... dzban — filar zwieńczony głowicą, z kwadratową, dwustopniową, piramidalną podstawą.

Na zwieńczeniu umieszczono drewnianą lub ceramiczną rzeźbę (około 30 cm wysokości) przedstawiającą siedzącą postać Chrystusa frasobliwego o chłopskiej fizjonomii, z jedną ręką opartą na kolanie, a drugą podpierającą pochyloną głowę.

Nad rzeźbą, na czterech wygiętych łukowato metalowych prętach, znajduje się, również metalowy, kolisty baldachim przedstawiający firmament nieba nocą. Nad baldachimem umieszczono rzymskokatolicki krzyż. Zarówno rzeźba, jak i baldachim, pokryte są dobrze zachowaną polichromią.

W dzbanie-filarze, tuż pod głowicą, umieszczono metalowe ramię wysięgnika, u którego zawieszono klasyczną, metalową obudowę latarni ulicznej z szybami i drzwiczkami, wewnątrz której, współcześnie, jakaś „poczciwa dusza" zapala każdego wieczora migotliwy płomyk świecy.

Dzban-kolumna okolony jest niewysokim kwadratem (3 × 3 m) — metalowym, sztachetowym płotem oraz wewnątrz żywopłotem z lillaka.

Na obłej części dzbana-filara, na wysokości około 1 m od ziemi, znajduje się głęboka, prostokątna nisza, w której obecnie umieszczono wizerunek Matki Bożej. Poniżej usytuowano małą tabliczkę z brązu z napisem: *Tu została zapalona w roku 1854 pierwsza na świecie naftowa lampa uliczna.*

Jak powszechnie wiadomo, w latach 1853-1858 w Gorlicach mieszkał i pracował w ratuszowej aptece twórca światowego przemysłu naftowego, wynalazca pierwszych lamp naftowych — Ignacy Łukasiewicz.

Usytuowanie kapliczki, z pierwszą na świecie uliczną lampą naftową, przy skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Węgierskiej (dawnych traktów bieckiego i węgierskiego) nie było przypadkowe. Trakt węgierski tzw. „cesarski gościniec", przebiegał przez Gorlice w kierunku na południe przez wsie Siary i Sękową do granicy austro-węgierskiej; w tych właśnie wsiach najwcześniej rozpoczęto wydobywanie ropy naftowej, czerpiąc ją po prostu z naturalnych dołów i wgłębień.

To we wsi Siary Łukasiewicz zaopatrywał się w ropę do swoich badań nad destylacją, prowadzonych w gorlickiej aptece. Z Siar i Sękowej, „cesarskim gościńcem", składając opłatę przy *szlabancie* jechały wozy z drewnianymi beczkami pełnymi ropy do gorlickich destylarni, a światełko ulicznej latarni Łukasiewicza z przydrożnej kapliczki wskazywało drogę na bezludnym Zawodziu jak latarnia morska we mgle.

Dzisiaj, po 136 latach, przetrwawszy dwie zawieruchy wojenne — kapliczka Łukasiewicza rozpada się na oczach przechodniów. Odpada tynk całymi płatami, pękają cegły od wstrząsów i drgań przelotowych ulic, spalin samochodowych i związków chemicznych zawartych w atmosferze.

W pobliżu kapliczki, przed apteką przy ulicy Kościuszki, zwrócony twarzą na południe w kierunku Siar i Sękowej, „patrzy" z cokołu w prospekt ul. Węgierskiej, u początku której stoi kapliczka, brązowa głowa I. Łukasiewicza. Obelisk usytuowany, jak na urągowisko, naprzeciwko rozpadającej się kapliczki „patrzy" na niszczenie swego życiowego dzieła, „patrzy" jak za sprawą benzynowych spalin i drgań ulicy od przejeżdżających samochodów... skutek jest dziełem przyczyny.

Kapliczka ze wszech miar zasługuje na ratunek i o ten ratunek woła! Wokół powstają kilkupiętrowe domy, nowe ulice, a brakuje paru kilogramów wapna i piasku, aby uratować to, co niosąc na sobie ładunek ponadwiekowej pamięci odchodzi w grobowiec zapomnienia.

Nie wiem, jaki jest zasięg działania Podhalańskiego Oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, ale sprawa na pewno zainteresuje Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Nowym Sączu. Jestem również pewien, że społeczność gorlicka chętnie wesprze finansowo zabiegi konserwatorskie gorlickich zabytków, gdyby tylko otwarto konto bankowe i rozpoczęto renowacje.

SZCZEPAN MIKRUTA

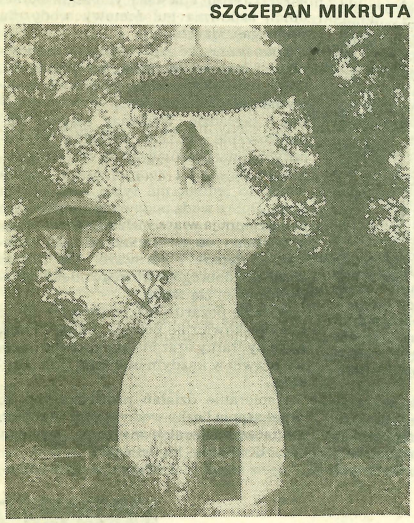

Fot. ANTONI ŁOPUCH

ZOFIA SZLACHTA
DIABELSKIE FIGLE

Tu kończył się świat i stały trzy karczmy, a żadnej już nie ma. Z jednej ludzie zrobili kiosk „Ruchu", w drugiej zamieszkali, w trzeciej urządzili „Cepelię". I była jeszcze jedna karczma, całkiem osobna, a taka stara, że nikt nie pamięta, skąd się ona wzięła, mówili nawet, że sama wyrosła. Później przyszli prezesi i rozebrali ją pod betonowy budynek GS-u. Tak tutaj mówią ludzie przytomni. Lecz ci, którzy wierzą raczej w magię słowa sądzą, że inaczej się stało: dziura otwarła się w ziemi, lej uczyniła i zniknęła w nim jurgowska karczma, ta stara, wielka, ta z wiersza.

Jak było napisane, tako się i stało:

.....

Pękną ściany, dach dwupoły się rozłamie,
Miast posadzki — czarny lej bez dna.
I zakracze z wszystkich stron niepamięć...

Miała dach naprawdę dwupoły, spadzisty, łupkowy, taki, jakie dawniej budowano i niska była a przysadzista. Małe okieneczka, strop belkowy, od dymu z palenisk poczerniały, podtrzymywany w środku przez bale sosnowe. Spróchniała od starości podłoga z plamami wszelkich trunków i mocny szynkwas, a za nim beczki na węgierskie wino takie ogromniaste, że w nich łatwo mógł się pomieścić ten czart z kapeluszem i ogonkiem, który podkręcał, by nim potem o szkło kufli dzwonić, a wino przemieniać w łzy. Była tu jeszcze inna osobliwość: drewniana okiennica albo żaluzja dzieliła szynkwas od publiki, a zrobiona była tak przemyślnie, że jak w powietrzu winem pijanym i dusznym od dymu i czadu poczęły tańczyć kufle od piwa lub szklanice z winem, karczmarz się zamykał w szynkwasowej budzie i tam trwał unosząc całą głowę. I czekał, aż biesisko się zmęczy, a wskoczy z powrotem do beczki.

W sieni w niedzielę muzyka grała. Jak grać zaczynała, to wtedy pod karczmą wianuszek pięknych dziewcząt naraz jak spod ziemi wyrastał. O nie, wcale nie były koronkowo-złote, nawet przy niedzieli, tylko zwyczajnie, jak tam która miała — to czarną sukienną spódnicę i kaftan, to kwieciasty perkal. Czerwone i złote były do kościoła.

Stały tak pod oknami i tęsknie zaglądały do środka, gdzie tańczyli, i nerwowo chichotały myśląc, czy je który parobek, a może i gospodarz wdowiec do środka poprosi na gorące wino i obłapianki z daleka od świecy. Ale żadna sama wejść nie śmiała. Zwyczaj tego bronił, iść do karczmy bez chłopa to grzech. Jak źle było tak samotnie pod karczmą wyglądać, prosić zmiłowania! Jak to musiały one tych chłopców uczyć się przywabiać, zachęcać do siebie, zalecać, że ona, a nie druga najlepsza będzie w tańcu i w przytuleniu. A przy tym zdać się jeszcze dziewką skromną, bo karczma przecie przy kościele stoi, a dziewczyny mocne główki miały, choć diabeł w serduszku palił, ale tylko w sercu. Wiedziały, że taniec i to tamto fraszka, tu wydać się trzeba za chłopca, za jego konia, jego krowę i za porządne obejście, i za białą izbę, gdzie się złoży swoją posagową skrzynię pełną wszelakiego dobra, grubego płótna i tych prawie francuskich, tiulowych koronek.

Chłopcy z tej sali do picia i do tańca wynosili ławy i robiła się wtedy duża i pusta, w rogu muzyka od ucha przycinała. Tańczyli. Potem prosili, żeby odpocząć po wysiłku nóg, trochę wykrętnie, bo chodziło o to, aby zapytać o coś w ukryciu, a może tylko szepnąć dziewczynie: Kasiu, Marysiu, podźże, tyś moja. Ale na górkę chodzili, jak już byli narzeczeni.

Tuż obok była jeszcze jedna izba, największa i wcale nie gorsza od tamtych. Tam mieszkały konie. Pachniało sianem i nawozem, dziesięć koni stało rząc, czasem parobek legnął przy nich na słomie. Panowie przejezdni pili węgrzyna i tokaje, zębami darli jagnięta, a szkapy żuły siano, każdy miał według gustu, co lubi. Czasem aż ciasno było i gorąco, czasem nie bardzo bezpiecznie. Spotykali się tu i mijali panowie węgierscy i polscy, posłańcy i kurierzy, celnicy i przemytnicy. Czasem wyruszali pospołu ku węgierskiej stronie jednym traktem, wąskim przesmykiem między górą-lasem a urwiskiem nad Białką, het ku Jaworzynce i Łysej Polanie, ku Podspadom. Przemytnicy inaczej: przemykali się, jak i dzisiaj pono, przez rzepiskie lasy i Białkę ku cesarskiej granicy, ku Austrii. Wiedli konie na sprzedaż z nogami w wojłokach i pyskami w worku. Po ostatniej wojnie było już zwyczajnie: najpierw żarówki i długopisy, pasta do zębów i buty. Ale to już inna historia i czasy inne, gdy karczmy nie stało.

Jurgowski karczmarz, tamten, co to nagle zniknął i ślad po nim przepadł, był człek figlarny i też wiedziony

STEFAN JAROSZ

Głównym inspiratorem zorganizowanego podhalańskiego ruchu w Ameryce był Stefan Jarosz — geograf i podróżnik. Począwszy od 1927 roku odwiedził kilkakrotnie główne skupiska podhalańskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych, skutecznie zachęcając do wspólnego zorganizowanego działania, w efekcie czego 7 listopada 1929 r. powstał Związek Podhalan Północnej Ameryki.

Przypomnijmy fragmenty kilku publikacji, których autorzy pisali o Stefanie Jaroszu.

Włodzimierz Wnuk w wydanej w 1985 r. książce „Górale za Wielką Wodą": *Nie był nawet rodowitym Podhalaninem, urodził się bowiem Stefan Jarosz w Radomyślu nad Sanem w 1903 roku. (...) Wychowany w Nowym Sączu, gdzie zdał maturę, studiował leśnictwo na uniwersytecie poznańskim, uprawiając jednocześnie od najmłodszych lat turystykę w Beskidzie Sądeckim, a potem w Pieninach i Tatrach. Te ostatnie ukochał w sposób szczególny, były dla niego najpiękniejszymi ze wszystkich gór świata. A poznał wiele innych wspaniałych gór, ba pasja odkrywczych podróży stała się z biegiem czasu największą pasją jego życia i z nią właśnie łączyły się jego kilkakrotne podróże do Stanów Zjednoczonych w latach 1927 — 1938, w czasie których wędrował po tym niezmierzonym kontynencie wzdłuż i wszerz, zwiedzając i badając głównie tamtejsze góry i parki narodowe (opisał je potem w książce pt. „W górach Ameryki Północnej").*

Wyjeżdżając do Ameryki po raz pierwszy, jako stypendysta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z misją odwiedzenia tam polskich ośrodków, Jarosz w szczególny sposób zainteresował się ośrodkami emigrantów z Podhala i do spotkań z nimi starannie się przygotował (...)

Dalej Wnuk szczegółowo omawia m.in. przebieg spotkań Jarosza przede wszystkim w Chicago, największym skupisku emigrantów z Podhala, oraz dalszy przebieg wydarzeń, które zaowocowały utworzeniem najpierw Towarzystwa Tatrzańskiego, a wkrótce potem Związku Podhalan.

Wiceprezes Związku Podhalan P.A. na Stany Zjednoczone — **Jan Władysław Gromada** opublikował wiosną 1977 r. w kwartalniku „Tatrzański Orzeł" (którego jest naczelnym redaktorem i wydawcą) pracę pt. „Pół wieku góralszczyzny w Passaic N.J.". Oto co pisze na temat roli Stefana Jarosza i swego z nim spotkania: *Spróbujmy wrócić pamięcią do wspomnianych lat 1927 — 1929. Wtedy to znakomity gawędziarz, podróżnik z Nowego Sącza, dr Stefan Jarosz bawił w Stanach Zjednoczonych jako delegat Towarzystwa Tatrzańskiego i Związku Podhalan w Polsce, objeżdżając ośrodki polonijne z doskonałymi odczytami, ilustrowanymi kolorowymi przeźroczami o tematyce regionalnej, ze szczególnym uwzględnieniem Podhala. Stefan Jarosz gorąco zachęcał Podhalan do wstąpienia w szeregi Towarzystwa Tatrzańskiego, do podtrzymywania naszych starodawnych tradycji, kultury podhalańskiej, muzyki i tańca — jednym słowem tego, co nam dała stara ojczyzna, a przede wszystkim nasze Podhale. I zawsze podkreślał, że należy utrzymać żywą więź z krajem przez wizyty, wycieczki do polskich Tatr, na Podhale. Z jego inicjatywy (...) powstało w Chicago Towarzystwo Tatrzańskie. Ta pierwsza organizacja podhalańska nie cieszyła się względami tamtejszych górali i przedwcześnie zakończyła swój młody żywot... Ale na tym się nie skończyło, bo idea Stefana Jarosza ożyła w nowej organizacji górali pochodzących przeważnie z powiatu nowotarskiego, organizacji, która przyjęła nazwę Stowarzyszenia Podhalan, a Towarzystwo Tatrzańskie zmieniło nazwę na Związek Podhalan. W tych to latach 1927 — 1929 zorganizowało się kilka Kół Podhalańskich na terenie Chicago i w innych ośrodkach góralskich.*

A oto nowsze już, wspomnienia Jerzego Mikulca, zamieszczone w „Tatrzańskim Orle" wiosną 1989 roku: *Niedługo po swoim przybyciu do USA w 1927 roku odwiedził Detroit Stefan Jarosz, działacz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, świetny gawędziarz i prelegent, prezentując podczas swoich odczytów piękno krajobrazu polskiego, a specjalnie Tatr i Podhala. Wieczornice te cieszyły się według sprawozdawców miejscowego „Dziennika Polskiego" bardzo dużym powodzeniem w środowiskach polskich.*

Po raz drugi powrócił Jarosz do Detroit z początkiem 1929 r. kiedy po swojej wielomiesięcznej podróży po Górach Skalistych prezentował cykl pożegnalnych odczytów, ilustrowanych przeźroczami, konfrontującymi niejako Tatry z różnymi pasmami Ameryki Północnej. Detroicki „Dziennik Polski" ogłaszał od 8 lutego niemal codziennie planowane cztery prelekcje Jarosza, zapoznając czytelników z sylwetką prelegenta, jego osiągnięciami i programem spotkań, jakie odbyły się w dniach 16 — 19 lutego. W przeddzień prelekcji ukazało się również zdjęcie Jarosza w stroju góralskim. W czasie pobytu w Detroit Stefan Jarosz realizował też swoją misję w środowisku góralskim, polegającą na przekonaniu Podhalan do idei zorganizowania się. Wiadomości o finalizacji zabiegów tworzących podwaliny pod Związek Podhalan P. A., jakie docierały z Chicago i akcja propagandowa Jarosza zmobilizowały środowisko detroickie... Dnia 23 lutego w mieszkaniu prywatnym Franciszka Łazowskiego przy ulicy Lawndale 5661 około 50 zebranych postanawia założyć własną organizację, która w historii ruchu podhalańskiego w USA zajęła miejsce jako Koło Nr 4 ZP PA „Morskie Oko"...

Zapewne spotkania w innych ośrodkach odbywały się według podobnego scenariusza. Wszędzie Stefan Jarosz potrafił zmobilizować Podhalan do założenia własnej organizacji; sam zresztą uczestniczył w tworzeniu pierwszych Kół ZP PA. Przyznać trzeba, że trafiał na podatny grunt, na wielu wspaniałych ludzi, którym drogie było wspomnienie rodzinnego Podhala, a którzy widzieli potrzebę wspólnej pracy w warunkach, w których przyszło im żyć. Osobisty wkład Jarosza w to dzieło został doceniony: wróżniono go zaszczytnym tytułem Honorowego Prezesa Związku Podhalan P.A.

Stefan Jarosz zmarł w Warszawie w marcu 1958 roku, mając zaledwie 55 lat.

TADEUSZ PUDZISZ

przez biesa. Jednego razu zdało mu się, że cosi we wsi za spokojnie, za cicho, że nic się nie dzieje. No to plan umyślił, a jak pomyślał, to diabła zapytał i tak uczynił: sprosił do karczmy niby na radę samych starych, świątobliwych dziadków, takich co to dniami całymi w kościele siedzieli i spali, a na procesji feretrony nieśli. Poczęstował ich winem doskonałym własnej roboty. Do wina zaś nieczystego szaleju dosypał, że się wnet popili i do bitki wzięli, aż siwe włosy latały po izbie. Hałasu narobili tyle, że się cała wieś pod karczmę zleciała i patrzyła, jak się te święte dziadki kuflami leją ochoczo. Aż w końcu się zmęczyli, popadali i posnęli. Wtedy karczmarz jednego po drugim za nogi — i do stajni przeniósł na otrzeźwienie, a chłopaka na wieś posłał, żeby sobie żony chłopów pobrały. Dużo było z tego i śmiechów, i złości. Ale już więcej nie było świętych w Jurgowie. Kto mógł to uczynić, jeżeli nie bies lub za podpuszczeniem diabła? No któż?

Syn ostatniego właściciela karczmy jest dzisiaj starym i mądrym człowiekiem, ma brązowe a spokojne oczy, duże poczucie humoru, ale twierdzi, że na nim także diabeł położył swą łapę. Wlazł w skórę Hitlera i spokojnego Spiszaka wywlekł z domu, żeby włóczyć po niezliczonych frontach i krajach: i po Bułgariach, i po Tyflisach, i po Besarabiach. A potem w niewolę na Syberię oddał. Jak nareszcie dozwolił wrócić do Jurgowa, to już do innego kraju, niż ten, który opuszczał przed wojną. Zresztą to samo uczynił i jego ojcu — karczmarzowi, tyle że wcześniej, za Franza Jozefa. Z Uralu przez Kaukaz i wzburzoną rewolucją Rosję musiał się stary na piechty do siebie przekradać. Ten by opowiedział... I znów to była robota niewątpliwie diabła. Jaki na to ostateczny dowód? A choćby ten, że odkąd zapadła się karczma — wszystko ucichło i zespokojniało. Wojny się pokończyły i nie ma, oni siedzą w ciepłej chałupie jak u pana boga, dzieci porobiły szkoły, syn nigdzie nie lata światami, w rodzonej wsi siedzi i jest dyrektorem, wnuki też wysoko się kształcą, a jeszcze są dobre, spokojne i starszych szanują jak trzeba.

Tylko czasami, kiedy w Jurgowie wieje wiatr halny i posypie śnieg, a białe płatki na wietrze hulają pijanym tumanem, wtedy widzi, jak na dawnym miejscu, gdzie teraz stoi siwy sklep GS-u, wyrasta znowu karczma. Na chwilę wyobraźni. Potem znika. Pachnie siano, słychać tętent kopyt i złośliwy chichot. To on. Ten, co nie ma nazwy. Ten, co go zobaczył w pewną noc zimową chory, pijany poeta i ujrzawszy, napisał innym ku przestrodze:

Raczej zawróć, raczej nadłóż parę staj,
Choćby wiatr cię spalił, wiatr oślepił —
Przed tą karczmą nie zatrzymuj sań:
Nie pij, moja miła, nie pij...

W poezji dwie były najsławniejsze karczmy. Ta pierwsza Rzym się nazywała i wcale jej nie było, i nikt jej nie widział, tylko sam Mickiewicz. Ta druga była — i zniknęła. A kiedy się czasami zjawia, jest tylko poezją, niczym więcej.

Jerzy Liebert

Jurgowska karczma

Raczej zawróć, raczej nadłóż parę staj,
Choćby ziąb cię spalił, wiatr oślepił —
Przed tą karczmą nie zatrzymuj sań:
Nie pij, moja miła, nie pij...

Tam z kieliszków wyskakuje siny bies,
Czuły tenor, bies rozanielony.
Stuknie w szkło — już w kieliszku pełno łez,
A on płacze, coraz wyższe bierze tony...

Stuknie w szkło, weźmie *cis*, wstrzyma czas
I z wieczności — sama wiesz najlepiej,
Będzie łkał, jeszcze jeden do mnie raz
Przepij, moja luba, przepij.

Brzękną szkła... patrzysz w krąg — tenor sczezł,
Ton ostatni jeszcze słania się po stole,
A z kieliszka drugi bies, rudy bies,
Wyjrzał tępy — czarną bruzdę ma na czole.

Wlepił wzrok: w mózgu myśl, ostra kra —
Tęskny gzygzak tnie ci czoło między brwiami...
Stuknął w szkło — już w kieliszku jestem — JA.
Nie pij czasem, nie daj się omamić!

— Tyżeś to, miły mój? — Brzękną szkła —
Pękną ściany, dach dwupoły się rozłamie,
Miast posadzki — czarny lej bez dna.
I zakracze z wszystkich stron niepamięć...

Tylko walczyk czarci będzie łkał,
Słodki walczyk, ach, niezapomniany!
Pierwsze pas, drugie pas, trzecie pas,
I wypłyniesz lekka poprzez ściany...

KRÓTKIE OPOWIADANIA

Anna Górska z Zakopanego jest architektem (przez pewien czas była kierownikiem wydziału architektury w urzędzie miejskim), a jej dzieła to między innymi kilka schronisk tatrzańskich, pięknie zaprojektowanych, harmonizujących z górskim krajobrazem. Architektura to niewątpliwie sztuka wielkiej miary, ale pani Górska jest poza tym artystką — że tak powiem — na co dzień, w prywatnym życiu, działając jako mistrzyni rysunku, malarstwa i projektowania drobnych przedmiotów w metalu. Największą jej pasją jest kreska; cieniutkim piórkiem tworzy zadziwiające kompozycje, gdzie doszukać się można przeróżnych przenośni myślowych, alegorii, intuicji, w których ukazuje nam okrucieństwo złych sił przeciw dobru, walkę o byt w przyrodzie.

Te obrazy i sceny nazwała artystka „Krótkimi opowiadaniami" i wystawiła w zakopiańskim salonie BWA. Wszystkie ściany obwieszone rysunkami, częściowo uzupełnionymi malarstwem na szkle. Na stelażach zajmujących całą podłogę wystawy, eksponaty, które nie znalazły miejsca na ścianach. Podziwiać należy mnogość utworów i ich tematykę. Te rysunki o czymś opowiadają, przemawiają do nas nie zawsze zrozumiałym językiem, pobudzają intuicję i myślenie, są przejmujące w swojej artystycznej wymowie. Tak je przyjąłem oglądając wystawę kilka razy i odszedłem z niedosytem zrozumienia myśli artystki.

Wspomnę niektóre obrazy i sceny. Wataha wyolbrzymionych wilków skrada się do małego kierdeliku białych owieczek. Za żelaznymi kratami kłębią się złe potwory na tle sielankowego krajobrazu. Co to znaczy? Że świat jest piękny, ale to co się w nim dzieje często jest odrażające (i zamknąć się nie da). Stańczyk siedzi głęboko zamyślony, a przed nim siekiera i porąbany okrągły stół. Oko Opatrzności w obłoku, ludzie wyciągają ręce jakby w modlitwie, a z drugiej strony inni z napiętymi strzałami łuków, celują w zjawisko. Ogromne koło nad brzegiem przepaści, ku któremu płyną na skrzydłach anielskie istoty, czepiając się kulistej krawędzi, jakby chciały zatrzymać w biegu coś złego. Wyciągnięty szereg chwiejących się postaci, jakby upadających pod jakimś ciężarem, za nimi ogromna klatka ze strasznymi stworami, skąd wychodzi ostatni człowiek tej ludzkiej kawalkady. Ostatni krzyk jesieni — jeden jedyny liść złoty na ogołoconej gałęzi drzewa, jeszcze nie opadł, symbol odchodzącego ciepła i tęsknoty. W atmosferze tych dzieł jest coś co niepokoi i przeraża, a jednocześnie coś co uspokaja i ucisza naszą wyobraźnię. Cała ściana poświęcona papieżowi Janowi Pawłowi II w różnych stronach i sytuacjach: na Pegazie, na nartach, wśród dzikich plemion, z oliwną gałązką, przy góralskiej chacie, z gołębiami pokoju, wśród morskich odmętów, w nieustannym uwielbieniu i podróżowaniu.

Sztuka Anny Górskiej, sugestywnie udziwniona, ma w sobie swoistą filozofię widzenia świata, nie można jej oglądać pospiesznie i powierzchownie, wymaga od zwiedzających głębszej uwagi i wysiłku intelektualnego.

ALEKSANDER ZACZYŃSKI

Zakopiańskie ulice

Mieczysława Karłowicza

Urodził się na Wileńszczyźnie, lecz jego rodzice kochali pełnią serca oprócz Litwy — Tatry. Tę drugą miłość wszczepili synowi ponad zwyczajną miarę... i dosłownie na śmierć i życie: 33-letni Mieczysław Karłowicz, kompozytor i taternik ginie w lawinie śnieżnej pod Małym Kościelcem.

Po odbyciu studiów dyrygenckich w Niemczech (w latach 1906—1907), osiedlił się w Zakopanem. Był pierwszym wielkim symfonikiem polskim o nowoczesnej orientacji, autorem m.in. poematów symfonicznych „Powracające fale", „Smutna opowieść", „Koncertu skrzypcowego" A-dur. Pisał felietony tatrzańskie i taternickie, fotografował.

Pierwszy raz ujrzał Tatry w roku 1889. I odtąd przez dwadzieścia lat miały stanowić — obok muzyki — przedmiot jego najgłębszych zainteresowań. Kiedyś idąc na Gerlach zatrzymał się na Polanie Waksmundzkiej. Napisał potem o tej chwili:

Cisza była cudowna i uroczysta. Żaden szmer ludzki nie dochodził do nas; słychać było tylko harmonijne odgłosy dzwonków pasącego się bydła i od czasu do czasu dźwięczny głos juhasa: „Oj, góry nasze, góry!"

Leżąc tutaj na wonnej łące, w cudowny dzień lipcowy, doznałem wrażenia tak obcego mieszkańcom równin: uczucia nieograniczonej wolności. Zapomniałem o drobiazgach życia codziennego, zapomniałem o drobnych nadziejach, marzeniach, zawodach. Tutaj, wobec otaczających mię gór, czułem się tak małym, takim płytkiem, że opanowała mnie żądza dążenia do rzeczy wielkich i szlachetnych. W tej dziwnej ciszy czerpałem siły na przyszłe nieuniknione zapasy z losem i czułem, że każdy, kto potrzebował spokoju i odpoczynku po pracy, tutaj wrócićby w jednej chwili do siebie.

O wielkim samotniku tatrzańskim opowiada książka Adolfa Chybińskiego „Mieczysław Karłowicz — kronika życia artysty i taternika". Warto po nią sięgnąć, należałoby ją wznowić.

EMIL BIELA

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Pielok

Jednym z zajęć, które najbardziej lubię — jest wyszukiwanie tzw. „nowych twarzy". W zawodzie recenzenta muzycznego czy teatralnego stosunkowo łatwo o zobojętnienie, o przesyt. Wielogodzinne słuchanie muzyki sprawia na przykład, iż coraz rzadziej zdarza mi się osłupieć z wrażenia, zachwycić się, bez pamięci rozkochać w jakimś dziele czy interpretacji. Im więcej słucham — tym trudniej obudzić w sobie ów rozkoszny dreszcz towarzyszący spotkaniu z nieznanym, czy przeżyciu nieprzeczuwalnego piękna... Oczywiście owo zobojętnienie, nad którym ubolewam tu żałośnie — jest pozorne i w istocie dobrze wspomaga warsztat krytyka, bowiem podwyższa pułap jego oczekiwań czy wymagań. Ale mimo to przyznaję, że nie łatwo dziś o zaspokojenie tak wygórowanych potrzeb...

Z „nowymi twarzami", z młodzikami artystycznymi, debiutantami profesji artystycznej — jest inaczej. Ja przynajmniej tak odczuwam. Otóż od debiutanta nie można zazwyczaj wymagać tak wiele, jak od wytrwnego profesjonalisty. Debiut, czy artystyczna młodość w ogóle — to próbowanie zaledwie własnych możliwości i umiejętności, to nieśmiałe (ale bezkrytyczne — co na jedno wychodzi) przymierzanie się do miejsc, sytuacji. Do psychicznej próby, jaką jest kontakt z widownią. I do sprawdzianu możliwości, jaką jest wstęp lub dzieło.

Od debiutantów nie spodziewam się niczego. I być może dlatego właśnie tak często debiutanci sprawiają nadzwyczajne niespodzianki. Niekiedy niespodzianki przyjemne nadzwyczaj.

W tym roku „odkryłem" — na razie dla siebie tylko, dla własnej przyjemności — Natalkę Pielok. Pierwszy raz usłyszałem ją w Krakowie podczas Festiwalu „Shanties 89". Natalka śpiewała tam bodajże chórki, nie odniosła specjalnych sukcesów — niemniej doświadczony łowca talentów mógł ją zapamiętać. Choćby dzięki przyjemnej estradowej powierzchowności. Natalka jest bowiem nieduża, foremną dziewczyną o dość regularnych rysach i charakterystycznym, jakby dziecięcym grymasie ust. Jest młoda (studiuje architekturę w Politechnice Krakowskiej, obecnie na drugim roku — czyli wiosną miała lat niespełna dwadzieścia) i absolutnie bezpretensjonalna, tak w wyglądzie, ubiorze, jak i zachowaniu. Wielokroć wspominałem, że owa naturalna bezpretensjonalność wcale nie musi sprawdzać się w publicznym istnieniu na estradzie. Wręcz przeciwnie — estradzie potrzeba szczypta wyrafinowania, wykreowania, pogrubienia rysów charakterystycznych, podkreślenia gestem i strojem walorów — a zamazania słabości. To reguła, którą wszakże potwierdzają niekiedy wyjątki. Właśnie Natalka Pielok do nich należy. Jej normalność pasuje do roli, jaką zajmuje na estradzie...

Drugie zetknięcie z Pielokówną trafiło mi się podczas tegorocznej „Famy". Natalka była jednym z filarów krakowskiej ekipy studenckich organizatorów tego festiwalu. Współpracowała przy tzw. „warsztatach piosenkarskich", pomagała w realizacji ślicznego koncertu Tadeusza Kroka i Macieja Danka. Nade wszystko śpiewała sama. Po raz pierwszy słyszałem wówczas tę dziewczynę w roli solistki. Okazało się, że dysponuje ciepłym, naturalnie postawionym, miłym w barwie głosem. Że przyzwoicie akompaniuje sobie na gitarze. Że ma zdolność rozumnego i bardzo osobistego zarazem interpretowania piosenek. Co prawda repertuar Natalki nie był jeszcze oryginalny, ale i w starych balladach morskich, w piosenkach nadzwyczaj popularnych wśród żeglarskiej braci — udało się Pielokównie osiągnąć sukces. Sukces nie wymierzony — niestety — nagrodami (podczas „Famy" nagród jest bardzo mało), niemniej ważny, bo oparty na rzeczywistym wzruszeniu słuchaczy...

Na nagrody przyszedł czas we wrześniu 1989. Podczas piątego festiwalu „Wiatrak" w Świnoujściu (to jedna z milszych imprez śpiewających żeglarzy) — Natalka otrzymała aż kilka regulaminowych i pozaregulaminowych premii. Należała niewątpliwie do gwiazd tej imprezy, choć przyjechali niemal wszyscy idole tego specyficznego gatunku piosenki.

Jeszcze później, w październiku — doskonale zaprezentowała się Pielokówna w giełdzie piosenek noszącej tytuł „Śpiewać każdy może", organizowanej w krakowskim klubie „Pod Jaszczurami".

Natalka niewątpliwie jest już artystką. Nie jest jeszcze idolem. Mam wszakże wrażenie, że to tylko kwestia czasu.

Jeśli oczywiście moja wiara w inteligencję tej doskonale wyposażonej przez naturę piosenkarki — nie jest przesadna. Pielokównie trzeba obecnie pomóc w przeskoczeniu najpoważniejszego progu, jaki staje zawsze przed młodym artystą: progu zawodowstwa. Nie znaczy to wcale, bym namawiał Natalkę do porzucenia architektonicznej kariery i temu podobnych pochopnych decyzji. Profesjonalizm młodej tej osoby musi polegać na uniezależnieniu się od nastroju, humoru, chwilowych niedyspozycji, nieszczęścia w postaci, dajmy na to, pryszcza na nosie. Otóż Natalka (podobnie jak każda kandydatka na profesjonalistkę) musi poznać sposoby, dzięki którym zaśpiewa zawsze jednako ładnie. I wyglądać będzie jednakowo wdzięcznie również wtedy, gdy dziesięć kilo przytyje. Musi posiąść technikę aktorstwa estradowego — nie po to, by jej nadużywać. By mieć ubezpieczenie. Poczekam, zobaczę czy Natalka się tego potrafi nauczyć — i zostanie sobą.

Julian Krzewicki

Po raz pierwszy z tym nazwiskiem zetknąłem się w gorlickim Muzeum Regionalnym, oglądając wystawę z okazji 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej. Postaci Krzewickiego poświęcono całą gablotę. Są m.in. mundur i zdjęcia, liczne odznaczenia — Krzyż Walecznych, Krzyż Kawalerski Orderu Polonia Restituta, Medal za Wojnę 1939, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki.

Od dyrektora Muzeum, Leszka Brzozowskiego, dowiedziałem się, że rodzina Juliana Krzewickiego złożyła w depozycie teczkę z jego notatkami. Jest to fascynujący materiał pamiętnikarski dotyczący II wojny światowej.

Urodził się 16 lipca 1910 r. w Rudniku nad Sanem. Ojcem jego był Józef Krzewicki — dyrektor Fabryki Wyrobów Koszykarskich i burmistrz miasta Rudnik. Julian po maturze (którą uzyskał w rzeszowskim gimnazjum w 1931 r.) wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. W 1934 r. rozpoczął służbę jako podporucznik 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. W sierpniu 1939 ożenił się z Barbarą Stromke z Gorlic.

Podczas kampanii wrześniowej w randze porucznika dowodził kampanią przeciwpancerną w Armii „Kraków".

Wspomina:

Z końcem lipca dostałem pozwolenie na ślub z Barbarą; kaucję 7000 zł wpłaciłem już wcześniej. Termin ślubu wyznaczyliśmy na 5 sierpnia w Gorlicach. Otrzymałem z tej okazji 4 dni urlopu. Ze względu na wzbierający niepokój polityczny, na wesele nie mógł przyjechać żaden z moich kolegów pułkowych. Na drugi dzień po ślubie pojechaliśmy z żoną do Krakowa — kończył się urlop i musiałem objąć kompanię zakwaterowaną w Rząsce. W wojsku panowała gorączkowa atmosfera. Podoficerowie rozdzielali broń i amunicję dla zmobilizowanych strzelców. 31 sierpnia po południu cały 20 pułk piechoty Ziemi Krakowskiej ze sztandarem i orkiestrą, uzbrojony w ostrą amunicję i granaty, wyruszył w kierunku Śląska, do Pszczyny. Jechałem na koniu zmobilizowanym od chłopa. Pułk maszerował przez całą noc, z minutowymi przerwami co godzinę. O świcie doszliśmy do miejscowości Brzeszcze. O godz. 4 nadleciały duże samoloty lecące w kierunku Krakowa. Przez radio usłyszeliśmy, że o godz. 4.45 Hitler rozpoczął wojnę...

O świcie 2 września rozpoczął się ruch. zajmowano stanowiska, rozpoznawano teren, przygotowywano się do walki. Pożyczyłem rower i pojechałem szosą w kierunku Niemców. Gdy wyjechałem na górkę, zobaczyłem nagle przed sobą dwa samochody pancerne z czarnymi krzyżami, które jechały w moim kierunku. Załoga samochodów prawdopodobnie mnie nie zauważyła. Zdążyłem zawrócić i pospiesznie odjechać na moje stanowisko. Samochody pancerne również powróciły do swoich. Po ok. 20 min. rozpoczął się niemiecki atak. Artyleria strzelała po domach, z których jednak wcześniej ludzie zostali ewakuowani. Ja zacząłem strzelać z armaty w kierunku skrzyżowania szos. Ogień jednak ustał. Jak się później dowiedziałem, niemieckie czołgi natarły w innym kierunku: wjechały na nasze tabory z żywnością i amunicją. Otrzymaliśmy rozkaz, aby w ciągu nocy opuścić Pszczynę i cofać się na Oświęcim.

W nocy z 2 na 3 września (niedziela) wycofaliśmy się w kierunku Bierunia Starego i Oświęcimia. Niedaleko Soły weszliśmy do lasu, aby dać odpoczynek ludziom i koniom. Widzieliśmy maszerujących szosą Niemców. Około południa wszedł do lasu niemiecki patrol rozpoznawczy. Wywiązała się walka. Strzelałem z mojego pistoletu „vis". Jeden Niemiec poległ, drugiego trafiłem w kolano. Pozostałych wzięliśmy do niewoli. Byli zadziwnieni, że ich nie zabijamy — prawdopodobnie tak byli nastawieni przez swoją propagandę.

Po odpoczynku w lesie, choć nadal głodni, pomaszerowaliśmy w kierunku Soły. Jechałem na koniu. Gdy mijaliśmy rozbite dwa samochody osobowe z zabitymi oficerami niemieckimi, dostaliśmy się pod ogień ukrytych między budynkami niemieckich czołgów. Pełzając wyciągnąłem ze strumyka rannego kaprala. Niemcy strzelali ponad nami. Nasze armaty 75 mm otworzyły do czołgów ogień. Jedną armatę przeciwpancerną 37 mm skierowaliśmy na czołgi. Trzy z nich zostały trafione. Pozostałe jechały dalej. Z jednego z palących się czołgów wyciągnięto dowódcę z oderwanymi nogami. Po chwili czołg spłonął z resztą załogi, jak drzewo do podpałki. Obsługa mojej armaty została ranna, więc sam zacząłem z niej strzelać z zupełnie otwartego stanowiska. Trafiłem następne cztery czołgi. Gdy zmieniłem stanowisko armaty, pomagał mi w tym młody podchorąży. Nagle został trafiony i padł nieżywy. Sciągnąłem wszystkich rannych do dołu po wybuchu pocisku. Zabezpieczyłem ich przed dalszymi trafieniami i powróciłem do armaty. Zaciął się jednak po kilku strzałach zamek i nie wyrzucił łuski. Ogień z niemieckich karabinów maszynowych był bardzo ostry. Oberwana była tarcza i wsporniki, byłem bezbronny. Nie miałem innego wyboru. Złożyłem więc wycior, i wychyliłem się do przodu przed tarczę, włożyłem go do lufy i uderzyłem w łuskę. Udało mi się, łuska wyleciała, a nabój wskoczył do zamka — mogłem dalej strzelać. Pocisk z karabinu maszynowego przestrzelił mi tylko spodnie. Niestety, niedługo skończyła się amunicja. Zdołałem zniszczyć 9 niemieckich czołgów. Jechały na nas ocalałe dwa. Podoficer miał jeszcze trochę nabojów do karabinu przeciwpancernego i udało mu się je uszkodzić i zatrzymać. Nie było już zagrożenia ze strony czołgów i Niemcy nie doszli do naszych oddziałów — powstrzymana została pancerna nawała na tym odcinku. Jednak artyleria niemiecka rozpoczęła teraz huraganowy ogień. Nie mieliśmy już ani jednego naboju.

Już po wojnie dowiedziałem się od kolegów, że za walki w rejonie Pszczyny, za obronę odcinka pułku przed czołgami i zatrzymanie ich ataku, zostałem podany do odznaczenia Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Cała dokumentacja została jednak zniszczona po kapitulacji.

Dowódca batalionu, mjr Tytus Brzósko, wydał rozkaz cofania się za most. Niestety, most na Sole został wcześniej zniszczony przez nasze oddziały, a woda z zapory w Porąbce spuszczona. Musieliśmy zostawić sprzęt: armaty i karabiny maszynowe i pojedynczo przeprawiać się na drugą stronę rzeki. Poległ dowódca batalionu, kapitan Wacław Nowacki. Utopiło się kilku strzelców. Przeszedłem przez przełęcz załamanego mostu z moim kolegą, ppor. Wsiewołodem Romanowskim. Schowaliśmy się w nadrzecznej wiklinie. Rolnik, który w pobliżu kosił z synem trawę, powiedział nam, że Niemcy zajęli już Przeciszów i nie możemy sami iść do wsi. Obiecał przyjść po nas wieczorem i przeprowadzić nas niepostrzeżenie. Dotrzymał słowa. We wsi dowiedzieliśmy się, że Niemcy są przed nami. Poruszają się po szosach — jesteśmy już na ich tyłach. W mundurach nie mogliśmy się pokazać. Zostawiliśmy więc mundury i pistolety, a dostaliśmy cywilne ubrania i jedzenie. Przespaliśmy się trochę i rano ruszyliśmy w kierunku Wisły. Wędrując cały dzień doszliśmy tak do Krakowa od strony Woli Justowskiej...

★

Do niewoli niemieckiej dostał się pod Horyńcem Zdrojem. Uciekł jednak z transportu na stacji kolejowej w Rzeszowie. Przedostał się pieszo do Rudnika, gdzie czekała żona. Ukrywał się tam przez kilka miesięcy. Na początku 1940 roku zamieszkał w Gorlicach, w domu teściów. Sąsiedzi go nie znali, więc nie ujawniał się jako oficer. Podał się za nauczyciela i na fałszywych papierach podjął pracę w Biurze Aprowizacyjnym. Natychmiast włączył się do konspiracji i organizacji podziemnego ruchu oporu na terenie powiatu gorlickiego. Był początkowo zastępcą komendanta — kpt. Jamrowicza, a po aresztowaniu dowództwa ZWZ AK w Gorlicach został komendantem Obwodu Gorlickiego AK, przyjmując pseudonim „Kruk". Do 1942 r. kapitan „Kruk" organizował pododdziały AK, gromadził broń, amunicję i materiały wybuchowe, koordynował akcje dywersyjne, zaopatrywał ludność w kartki żywnościowe wykorzystując swoją pracę w Biurze Aprowizacyjnym, zajmował się produkcją fałszywych dokumentów, demaskowaniem volksdeutschów i kolaborantów, organizował pomoc dla rodzin poległych i przebywających w obozach oficerów i cywilów.

Funkcję komendanta obwodu pełnił do kolejnej „wsypy", kiedy to został zdekonspirowany i musiał uciekać. Ścigany przez gestapo, ukrywał się wraz z żoną przez kilka tygodni na terenie okolicznych wsi. Dowództwo Okręgu powierzyło mu funkcję komendanta Obwodu Limanowskiego AK. Przyjął nowy pseudonim „Filip". W stopniu majora został dowódcą II batalionu Pierwszego Pułku Strzelców Podhalańskich AK.

Po zakończeniu wojny ujawnił się, zdał broń i amunicję swoich oddziałów. Rozpoczął pracę w PZU w Gorlicach. Potem, aż do emerytury pracował w gorlickim oddziale Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego — jako dyrektor handlowy.

Zmarł w 1987 roku.

MARIAN JANIGA

STANISŁAW KULASIK (2)

PORWANY Z GNIAZDA

Wyładowano nas w Nowym Targu na stacji kolejowej. Było tu dużo żandarmów niemieckich, którzy przywieźli transporty z innych miejscowości Podhala. Jak się okazało, tym razem padł również ofiarą Czarny Dunajec. Wyrzucano nas pojedynczo z wozu, liczono i wyganiano do poczekalni zupełnie jak spłoszone owce do nowego koszaru. Tu nie słyszeliśmy przyjaznych słów, lecz ostre rozkazy. Były to już pierwsze chwile niewoli. Potem załadowano nas do kursowego pociągu i pojechaliśmy.

Była to druga w moim życiu podróż pociągiem, ale jakże inna od pierwszej. Tamta przyjemna, pełna rozkoszy i uciechy, bo do Krakowa na „wianki" — do bliskich znajomych. Tym razem na wygnanie.

Gdy dojeżdżaliśmy do miejscowości Lasek, z naszego wagonu uciekło dwóch mężczyzn. Niemcy nawet nie strzelali za nimi, tylko padały raz po raz przekleństwa. Zbiegowie umieli mądrze zorganizować ucieczkę. Niepostrzeżenie uwiązali sznurek do walizki leżącej na półce nad ławkami na początku wagonu, a sami znajdowali się w drugiej połowie (były to wagony całe otwarte, bez przedziałów). W pewnym momencie pociągnęli za sznurek biegnący górą, pod sufitem, dwie walizki spadły na ziemię i zrobił się ruch. Niemcy, a było ich trzech w wagonie, zainteresowali się, co się dzieje, a w tym samym momencie dwóch ludzi wyskoczyło przez okna, przy szybkości nie większej niż 15-20 km/godz.

Siedząc w kąciku, słuchałem rytmu pędzącego pociągu i nie byłem nawet w stanie myśleć. Wiedziałem jednak, że ja nie uciekłem i ciągle oddalam się od swej rodzinnej wioski, mając lat szesnaście, nie znając życia ani świata, musiałem być pokornym barankiem, poddać się i czekać co los przyniesie. I tak w otępieniu dojechałem do Krakowa, przepędzono nas przez miasto i skoszarowano — o ile pamiętam — porzy ulicy Miodowej. Tam po raz pierwszy skosztowałem niemieckiej zupy. Co parę godzin wpuszczano przez bramę następnych młodych ludzi. Przez dwa dni badano nas, dawano jakieś zastrzyki, strzyżono wszelkie owłosienie, smarowano ciało jakimś piekącym preparatem, a w trzecim dniu znów przegoniono na dworzec. Tym razem było nas już około tysiąca.

Były godziny popołudniowe, gdy przejeżdżaliśmy przez granicę z roku 1939. Nie wiedziałem, że mijamy ostatni skrawek ziemi ojczystej, ale jeden ze starszych krakusów objaśnił, gdzie się znajdujemy, a w chwili przekraczania granicy między wielu wzniosłymi słowami płynącymi z głębi duszy wypowiedział słowa Mickiewicza: *— Ojczyzno moja... ile Cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto Cię straci.* Wywarło to na nas ogromne wrażenie. W szkole nie umieliśmy zrozumieć głębokiego sensu tego westchnienia, a teraz targało serca i każdy miał oczy pełne łez. Poczułem straszliwy ból. Zrozumiałem, że z tą chwilą ostatecznie tracę wszystko co jest mi drogie i bliskie. Stanęły mi ponownie przed oczyma obrazy zapłakanej matki i ojca, kapłana z krzyżykiem w ręku, wioski z wijącym się Dunajcem, domu rodzinnego...

Bezlitosny pociąg mknął dalej.

Gdy się przebudziłem był już świt. Zorza poranna wskazywała, że będzie piękny czerwcowy dzień. Nasz kochany krakus informował, że zbliżamy się do Wiednia. Strach mnie ogarnął, że chyba nigdy nie wrócę do domu z tak dalekiego świata. Lecz i tu nie był koniec jazdy. Po parugodzinnym postoju na bocznicy kolejowej, gdzie otrzymaliśmy porcje chleba z konserwą, pociąg pomknął dalej. Trudno byłoby opisać, ile myśli przesuwało się przez moją głowę, ile razy w ciągu tego dnia przykładałem chusteczkę do twarzy i skrycie ocierałem łzy!

Nadszedł znów wieczór, gdy zatrzymaliśmy się w mieście Ulm. Na dworcu ukazała się cała kompania Niemców. Obstąpili pociąg, a następnie padł rozkaz: *Alles raus!* I znów pod eskortą poprowadzono nas do dużego bloku w pobliżu dworca. Nazajutrz z rana wysłuchaliśmy — w języku polskim i formie bardzo przyjaznej — abyśmy uczciwie oddali swe usługi dla sprawy wielkiego narodu niemieckiego. Powiedziano nam również, byśmy nie próbowali wyłamywać się z dyscypliny, jaka nas będzie obowiązywać. I po raz pierwszy ostrzeżono, że istnieją obozy koncentracyjne. Na osłodę tych słów otrzymaliśmy gorący posiłek, pierwszy od trzech dni. Następnie ponownie przeszliśmy badania lekarskie i znów zmywanie ciała tym samym piekącym preparatem, dla dezynfekcji. Po południu zabrano nas grupami do obszernej sali przydworcowej, gdzie czekali już różni przedsiębiorcy, oglądając nas jak konie na targowicy, kupowali na własność „zwierzęta robocze" — Polaków.

★

Stojąc w grupie, patrzyłem na Niemców palących cygara i czekałem, który z nich mnie będzie oglądał. Wreszcie podszedł jeden, wziął mnie za ręce i oglądnął muskuły. Wróciwszy do stolika, gdzie siedzieli komisarze w mundurach, dopełnił niezbędnych formalności (widziałem, że wpłacał jakieś pieniądze), wreszcie kiwnął na mnie palcem. Nisko kłaniając się władzy, wyszedł ze mną na dworzec kolejowy. Po krótkiej chwili przyszedł następny, też prowadząc „nabytek". Widać dobrze się znali, bo zaczęli wesoło szwargotać. A ja poznałem, że z tamtym Niemcem jest mój towarzysz z tysiąca transportowanych. Prędko nawiązaliśmy rozmowę, bo być może za chwilę każdy pojedzie w inną stronę. Na szczęście wsiedliśmy do jednego pociągu. Pociągiem tym jechało jeszcze wielu z naszego transportu, każdy z „opiekunem".

Jadąc z Ulm w kierunku południowym około 100 km mieliśmy czas poznać się z Tadeuszem Kwiatkowskim. Pochodził z Czarnego Dunajca — i miał stać się najbliższą mi duszą w dniach, kiedy miotany rozpaczą i tęsknotą byłem jak statek bez steru na wzburzonym morzu. Nie znając języka niemieckiego, nie mogliśmy się dowiedzieć od „opiekunów", gdzie którego wiozą. Wreszcie wysiedliśmy z mym „opiekunem", a kolega pojechał dalej.

Była to stacja o nazwie Agellschofen. Pieszo szliśmy dwadzieścia minut i doszliśmy do pięknie położonej pod lasem wioski, która nazywała się Rohrdorf. I od tej pory nazwa tej wioski służyła mi jako adres przez całe pięć lat.

Dom, do którego mnie wprowadzono był duży, wybudowany w stylu niemieckim, jak zresztą wszystkie w wiosce. Rozglądnąłem się po pokoju pięknie wymalowanym, czyściutko utrzymanym; w błyszczącym linoleum przeglądałem się jak w lustrze. Na ścianie wisiał portret małżeński, lecz mężczyzna na nim nie przedstawiał mojego „opiekuna". Obok śliczny zegar, który akurat wybijał godzinę czwartą po południu. Opasła gospodyni chwiejąc się na nogach niosła na tacy obiad. Jedząc gorący posiłek, uczułem senność i byłem pewien, że każą wypocząć. Pomyliłem się. Siedliśmy na wóz i pojechaliśmy w pole. Tam spotkałem grupę ludzi. Jak później zrozumiałem, była to cała rodzina z tego domu .

Tak znalazłem się u bauera nazwiskiem Remig Schwickhard — w Rohrdorfie w powiecie Wangen, w Wirtembergii (im Allgau). Z wioski był piękny widok na wysokie, ośnieżone Alpy. W odległości trzydziestu kilometrów znajdowało się piękne jezioro Bodeńskie, które ujrzałem dopiero po wyzwoleniu, oraz piękne miasto Konstanc, obok którego przebiegała granica szwajcarska.

(ciąg dalszy nastąpi)

Anna Szopińska

Skrzydła nad Podhalem

Sześćdziesiąt lat mija od czasu budowania lotniska w Nowym Targu. Społeczność Podhala i ówczesne „władze prowincjonalne" wspomogły przedsięwzięcie tak skutecznie, że już w sierpniu 1930 roku mogło się odbyć uroczyste poświęcenie i otwarcie pierwszego turystycznego lotniska w Polsce, otwarcie huczne, bo towarzyszył mu zjazd podhalańskich automobilistów, popisy lotnicze, zawody hippiczne, wreszcie wieczornica uświetniona występem nowosądeckiej orkiestry i „jazzbandu Kółka Akademików nowotarskich". Dawne to były czasy, kolorowe i pewnie bogatsze niż dziś w nadzieję. Zaraz też zaczęły się w Nowym Targu obozy szkoleniowe dla kandydatów na pilotów, a potem wyrosła miastu konkurencja w postaci Aeroklubu Zakopiańskiego, który powstał jako filia Aeroklubu Krakowa. Gdy w Zakopanem rozpoczyna się praca nad szkoleniem pilotów szybowcowych a rzostw Świata Modeli Szybowców Klasy F 1E Sterowanych Prętem Magnetycznym. Wrzesień '89 nie był łaskawy dla Polaków i ich modeli — trochę za ciężkich, bo obliczonych na wietrzną pogodę — ale zdolności organizacyjne Polaków oceniła Federacja nadspodziewanie wysoko.

Drugim — a może nawet istotniejszym nurtem pracy Aeroklubu Tatrzańskiego są szkolenia spadochronowe: we wrześniu 1987 roku odbyły się na nowotarskim lotnisku już XIII Międzynarodowe Zawody Spadochronowe o Puchar Tatr, z udziałem Czechów i Niemców. Ośrodek Szkolenia Spadochronowego podległy Ministerstwu Obrony Narodowej działa tu od powojennych lat i zasłynął dużymi osiągnięciami, przez cały rok odbywa się w nim szkolenie narodowej kadry spadochronowej i w ślad za tym idą sukcesy: ostatnio II miejsce zespołowo w celności lądowania podczas Pucharu Świata rozgrywanego w RFN oraz I miejsce **Bobowskiego** (który często ćwiczył w Nowym Targu) w Spadochronowych Mistrzostwach Świata (NRD). Organizuje się tu także praktyczne i teoretyczne kursy dla instruktorów spadochronowych. Szkolenie urządzane dla chłopców z Podhala cieszy się wprawdzie niesłabnącą popularnością, ale tylko nieliczni przechodzą przez sito badań, testów i sprawdzianów, więc ledwie kilku kończy szkolenie. Czternastoma młodymi ludźmi zasilił jednak w tym roku Tatrzański Aeroklub dęblińską szkołę. Niestety, powiększyła się przez lato także czarna kronika wypadków.

Od 13 grudnia 1986 r. Klub Seniorów Lotnictwa wspomaga Aeroklub Tatrzański przy dokumentowaniu historii lotnictwa na Podhalu, przy organizowaniu mistrzostw, zawodów pucharowych i załatwianiu istotnych dla Aeroklubu spraw. W niewielkim, dziewiętnastoosobowym gronie byłych pilotów, instruktorów, techników, mechaników, także lotniarzy, modelarzy i działaczy związanych z Aeroklubem — omawia się inwestycje potrzebne, by lotnisko dobrze służyło wszystkim zainteresowanym i miastu, a dyskusje o perspektywach lotniczego sportu trwają do późna. Lotnisko zyska niebawem stację paliw budowaną kosztem 80 mln zł, a na październikowym spotkaniu płk **Władysław Kunicki** — kierownik Aeroklubu, przedstawił Seniorom sprawę potężnej, bo o wymiarach 96 x 36 metrów, budowli — powstaje teraz dokumentacja nowego hangaru, który miałby mieścić także sale wykładowe, sale techników, laboratoria, stolarnie, pracownie lotniarzy i baloniarzy. Przy inwestycji tak dużej potrzebna będzie pomoc i aktywność wszystkich sympatyków i działaczy, choć wielu z nich na co dzień pełni różne funkcje w Aeroklubie Tatrzańskim. Pokoje gościnne zlokalizowane w tym obiekcie przyniosłyby na pewno duży profit, jeśli wynajmować je zagranicznym amatorom szybownictwa, spadochroniarstwa czy innych dziedzin objętych patronatem Aeroklubu. O skromnej chociaż bazie na terenie lotniska warto myśleć tym bardziej, że wciąż nie wiadomo, kiedy hotel „Skalny" zacznie przyjmować gości, a osobliwe warunki i walory krajobrazowe nowotarskiej kotliny powinny procentować.

W atmosferze koleżeńskiego spotkania i lotniczych „posiadów" okraszonych barwnymi opowieściami łatwiej snuć projekty i dzielić się robotą, a Spółdzielczy Dom Kultury zawsze był gościnny dla Seniorów lotnictwa. Październikowe zebranie miało też moment bardziej uroczysty. Medale za Zasługi dla Obronności Kraju dostali: srebrne — por. **Janusz Ruge** i mjr **Jan Cierniak**, brązowy — pilot **Aleksy Przybyliński**, przewodniczący KSL. Odznaki „Zasłużony Działacz Lotnictwa Sportowego" nadano pilotom: **Ludwikowi Szauderowi** i **Aleksemu Przybylińskiemu**, także pilotowi lotniowemu **Józefowi Gigoniowi**. Srebrna Odznaka za Zasługi dla Aeroklubu PRL przypadła mjr **Stanisławowi Stochowi** z Zakopanego. Honory zobowiązują, a podhalańskich seniorów lotnictwa zwłaszcza, bo na przyszły rok planuję Aeroklub Tatrzański „bugi" spadochronowe — nieklasyczne, bardzo widowiskowe konkurencje z elementami akrobacji, a jeśli Polska zostanie organizatorem kolejnych Spadochronowych Mistrzowstw Świata, to odbędą się one właśnie w Nowym Targu. Inicjatywę w budowaniu na terenie lotniska niewielkiego obelisku dla uczczenia pamięci tych, którzy mieli już swój ostatni lot — przejęli seniorzy bez jakichkolwiek zachęt.

Pozostaje jeszcze — i pewnie będzie narastał — problem uciążliwości lotniska dla mieszkańców bloków pobudowanych na lewym brzegu Białego Dunajca i „punktowców" w sąsiedztwie stacji CPN. W tych miejscach samoloty nie zachowują przepisowego pułapu, bo dopiero nabierają wysokości albo podchodzą do lądowania — rzadko cyrkulacja powietrza jest taka, by mogły startować w kierunku wschodnim, nad przestrzeniom niezabudowaną. A lokatorzy skarżą się na drżenie szyb, warkot silników przy zwiększonych obrotach, zauważają nawet u dzieci rosnące znerwicowanie, zaś właściciele bacówek w Gorcach obserwują, jak loty „krajoobrazowe" płoszą zwierzynę i dodają przerzedzonym lasom nowe porcje spalin. Mieszkańcy wołają o prawo do ciszy, władze Aeroklubu bronią się argumentem, że to miasto zbliżyło się do lotniska, a nie odwrotnie, poza tym o sposobie jego funkcjonowania decyduje Ministerstwo Obrony Narodowej. Być może w niedalekiej przyszłości województwa same będą musiały utrzymywać swoje Aerokluby, a wtedy w Nowosądeckiem, które ma Łososinę i Nowy Targ, będzie biednie. Aeroklub Tatrzański musiałby w takich okolicznościach uaktywnić się jeszcze bardziej. Nie wiadomo, czy spodziewane profity ukoją żale mieszkańców, ale kasę miejską być może podratują.

Fot. ALEKSY PRZYBYLIŃSKI

Mistrzostwa Górskie Nauczycieli

W Zakopanem rozegrano I Mistrzostwa Polski Nauczycieli. Trasa biegu kobiet wynosiła 15 km, na odcinku Wierch Poroniec — Zakopane, a mężczyzn — 25 km, od Wodogrzmotów Mickiewicza do Zakopanego. Wśród kobiet w poszczególnych grupach wiekowych pierwsze miejsca uzyskały: **Mirella Jochym** z Krakowa, **Anna Kapuścińska** z Łodzi, **Maria Juszkiewicz** z Gryfina i **Katarzyna Cilińska** z Nowej Soli. W kategorii mężczyzn najlepsi byli: **Marek Sanecki** z Gryfina, **Jan Becelewski** z Głogowa, **Jerzy Sak** z Kostrzyna i **Andrzej Turek** z Myśliborza.

Na tych samych trasach z okazji Dnia Edukacji Narodowej odbył się IV Bieg Górski nauczycieli w kategorii open. Wśród pań triumfowały: **Katarzyna Gwiazdon** (KS Polonia Prudnik), **Anna Kapuścińska** (26 LO Łódź) i **Marta Naglik** (Old Boys Zakopane). Natomiast wśród panów trzy pierwsze miejsca zajęli: **Marek Sanecki** z Gryfina, **Jan Becelewski** (TKKF Metal Głogów) i **Jan Krella** (CSRS).

Organizatorami imprez były: Ognisko TKKF Old Boys, Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miasta i Gminy Tatrzańskiej, Centralny Ośrodek Sportu w Zakopanem oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania.

Sport szkolny

Prężnie działający Międzyszkolny Ośrodek Sportowy w Rabce, od września zorganizował już szereg imprez sportowych dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych swojego rejonu działania. Były to mistrzostwa w biegach przełajowych, turniej piłki ręcznej dziewcząt i chłopców, biegi sztafetowe, mistrzostwa w piłce nożnej, lekkoatletyczny wielobój specjalistyczny. Oto niektóre wyniki sportowych zmagań młodych zawodników.

W biegach przełajowych sukcesy odnieśli: **K. Mlekodaj** (Szkoła Podstawowa nr 2 Rabka), **I. Jaskółka** (LO Jordanów) — dziewczęta; **R. Ziobro** (SP nr 1 Spytkowice), **B. Bala** (LO Jordanów) — chłopcy.

7 zespołów wzięło udział w mistrzostwach szkół podstawowych w piłce ręcznej dziewcząt i chłopców. W turnieju dziewcząt I miejsce uzyskała Szkoła Podstawowa nr 2 z Rabki, II m — SP nr 1 z Lubnia, III m — SP nr 3 z Lipnicy Wielkiej. Turniej chłopców wygrali uczniowie SP nr 2 w Rabce, przed SP nr 1 Jabłonka i SP Raba Wyżna.

29 sztafet startowało w biegach sztafetowych szkół podstawowych. Rywalizację 4x100 m dziewcząt wygrały zawodniczki SP nr 2 w Rabce; 4x100 m chłopców — SP nr 1 w Rabce. Zwycięzcami sztafety olimpijskiej dziewcząt została ekipa SP nr 1 Rabka, a sztafety chłopców — SP nr 1 Spytkowice.

W mistrzostwach szkół podstawowych w piłce nożnej I miejsce i puchar MOS zdobyła Szkoła Podstawowa nr 2 z Rabki, II m — SP nr 1 z Lubnia i III m — SP nr 1 ze Spytkowic.

W lekkoatletycznych wielobojach specjalistycznych udział wzięło ponad 80 dziewcząt i chłopców. Najlepszymi w poszczególnych wielobojach byli: dziewczęta — **K. Mlekodaj** (SP nr 2 Rabka) — wielobój szybkościowy, **M. Palarczyk** (SP nr 1 Rabka) — skoczność owy, **J. Łukasik** (SP Chabówka) — wytrzymałościowy, **K. Magiera** (SP nr 1 Rabka) — rzutowy. Wśród chłopców (odpowiednio): **R. Gibas** (SP nr 3 Rabka), **J. Malina** (SP nr 1 Rabka), **S. Hanula** (SP nr 3 Rabka) i **R. Zając** (SP nr 1 Rabka).

Drużynowo zwyciężyły zarówno dziewczęta jak i chłopcy ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Rabce.

Podnoszenie ciężarów

W Gorlicach odbyły się zawody finałowe Makroregionu Małopolska Drużynowych Mistrzostw Polski Juniorów do lat 20 w podnoszeniu ciężarów.

I miejsce — ZKS „Lechia" Sędziszów Małopolski, II — LKS „Pogórze" Gorlice, III — ZKS „Stomil — Sanoczanka".

Najlepszy wynik indywidualnie uzyskał zawodnik „Lechii" Sędziszów — **Ryszard Januś**. Z zawodników gospodarzy — LKS „Pogórze" — sukcesy odnieśli **Marek Madej**, **Piotr Cyran** i **Paweł Żarnowski**.

Zawody strzeleckie w Gorlicach

Na strzelnicy sportowej w Gorlicach rozegrano Miejskie Zawody Strzeleckie szkół ponadpodstawowych w strzelaniu z kbks w pozycji leżącej.

W punktacji drużynowej zwyciężyła reprezentacja Zespołu Szkół Ekonomicznych (**Elżbieta Honkowicz**, **Renata Jędrzejczyk** i **Teresa Wójcik**), która zdecydowanie pokonała drużyny Zespołu Szkół Zawodowych i Zespołu Szkół Mechanicznych.

W punktacji indywidualnej bezkonkurencyjna okazała się **Elżbieta Honkowicz** (283 pkt na 300 możliwych), wyprzedzając **Roberta Mikulskiego** z ZSZ i **Teresę Wójcik**.

Zwycięzcy wezmą udział w zawodach wojewódzkich organizowanych przez LOK oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania.

Giełda

Tatrzańskie Stowarzyszenie Kolekcjonerów Pamiątek Sportowych organizuje 26 listopada (godz. 11 — 14) I Regionalną Giełdę Pamiątek i Wydawnictw Sportowych. Odbędzie się ona w szkole podstawowej w Stasikówce (dojazd z zakopiańskiego dworca PKS autobusami Białka, Gliczarów, Jurgów, Bukowina, Czarna Góra, Brzegi, Łysa Polana). W programie m.in. wystawa proporczyków klubowych oraz interesujące występy artystyczne.

ANDRZEJ ŻEGLIŃ

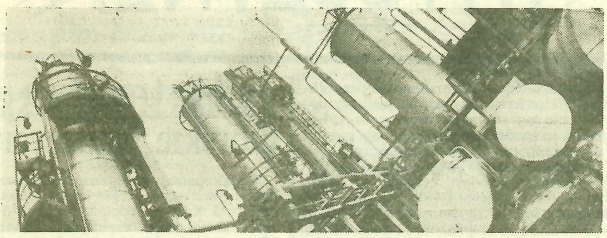

Sprawy Glimaru

Historia pewnego wdrożenia

W 1985 roku Lubiński Kombinat Górniczo-Hutniczy poszukiwał oleju do urządzeń hydraulicznych, który swymi właściwościami lepiej odpowiadałby potrzebom kopalń, niż stosowane dotychczas „Hydrole". Ofertą zainteresowano się w „Glimarze": grupa pracowników zadecydowała, że technologia produkcji oleju powinna powstać w rafineryjnym laboratorium, a tylko te badania, których nie można zrobić na miejscu, zostaną zlecone odpowiednim instytutom. W ten sposób uniknie się olbrzymich kosztów zlecanych analiz i powtórnej zapłaty za efekty wdrożenia. Prace nad „Lubinolem 85" trwały cztery lata, należało pokonać wiele — także biurokratycznych — przeszkód. Zespołem laborantów kierowała **Stanisława Tokarska:** — Niejednokrotnie angażowaliśmy placówki badawcze do prac, które mogliśmy z powodzeniem wykonać sami — np. do zestawiania próbek czy wykonywania podstawowych analiz. Przyjmując zamówienie lubińskiego Kombinatu, chcieliśmy w pełni wykorzystać możliwości zakładowego laboratorium.

Olej, jaki należało opracować, musiał mieć określone własności, gdyż był przeznaczony do urządzeń hydraulicznych pracujących w kopalniach, w warunkach bardzo dużej wilgotności. Miał więc charakteryzować się zwiększoną odpornością na tworzenie emulsji, właściwościami antyutleniającymi (bardzo ważnymi w przypadku kontaktu oleju z miedzią, przyspieszającą łączenie z tlenem) oraz antykorozyjne. Należało też zwiększyć jego odporność na tzw. ścinanie — czyli degradację cząsteczek węglowodorów pod wpływem dużych ciśnień. Wszystkie te własności trzeba było dobrać, stosując odpowiednie dodatki: my dysponowaliśmy komponentami produkcji krajowej i z zakupów w firmie CIBA.

Początkowo eksperymentowaliśmy na oleju bazowym (czyli półprodukcie) z Rafinerii Gdańskiej. Próbną partię wyrobu wysłaliśmy do Lubina. W trakcie eksploatacji okazało się, że produkt ma zbyt niski tzw. punkt anilinowy, świadczący o zawartości węglowodorów aromatycznych, a jego odporność na tworzenie emulsji jest niewystarczająca. By wyeliminować te wady, olej bazowy — o innych własnościach — zakupiliśmy w Płocku, zmieniliśmy też niektóre krajowe dodatki. Efekt był zadowalający. Zanim jednak ostatecznie ustaliliśmy recepturę produktu, firma CIBA powiadomiła Rafinerię, że jeden z produkowanych przez nią komponentów, użytych w „Lubinolu", jest najprawdopodobniej szkodliwy dla zdrowia. W zamian zaproponowano inny składnik, o podobnych właściwościach.

Olej z powodzeniem przebył badania laboratoryjne i eksploatacyjne, uzyskał atest, spełnia wymagania średniej klasy światowej. Jego opracowanie i wdrożenie jest naukowym i organizacyjnym sukcesem „Glimaru".

Konkurs

W kilku dziennikach ukazało się ogłoszenie tej treści: *Rada Pracownicza Rafinerii Nafty „Glimar" w Gorlicach ogłasza konkurs na dyrektora przedsiębiorstwa. Osoby przystępujące do konkursu powinny spełniać następujące warunki: posiadać wyższe wykształcenie techniczne lub ekonomiczne, znać specyfikę przemysłu rafineryjnego, mieć co najmniej dziesięcioletni staż pracy, w tym nie mniej niż pięć lat na stanowisku kierowniczym lub samodzielnym. Preferowani są kandydaci o wieku nie przekraczającym pięćdziesięciu lat, wymagany jest dobry stan zdrowia. O terminie konkursu przedsiębiorstwo powiadomi pisemnie.*

Dotychczasowy, wieloletni dyrektor Rafinerii odchodzi na emeryturę, jego miejsce musi zająć osoba, która rozwiąże problemy stojące przed „Glimarem". Już teraz toczą się dyskusje nad formą obioru nowego szefa przedsiębiorstwa, krytykowany jest udział przedstawicieli PZPR i ZSMP w konkursowej komisji. Część pracowników chciałaby, aby wybór przeprowadzono według zasad zawartych w projekcie nowej Ustawy o Samorządach Pracowniczych. Nie ma również zgody co do tego, czy lepiej by nowy dyrektor wywodził się z kadry inżynierskiej zakładu, czy też aby był człowiekiem „z zewnątrz". *Załoga chciałaby* — mówi **Bolesław Wojtas**, przewodniczący zakładowej „Solidarności" — *by był to ktoś spoza Fabryki, nie związany z lutejszymi układami.* Inni zaś uważają, że tylko osoba pracująca tu od lat, dobrze znająca stuletni „Glimar", może doprowadzić do jego drugiej młodości.

Warunki konkursu są liberalne. Ograniczono jedynie wiek kandydatów, ale nie znaczy to, że dyrektorem Rafinerii nie będzie mógł zostać energiczny, zdolny pięćdziesięciolatek — jeśli okaże się najlepszy.

Tak było...

W czasie hitlerowskiej okupacji rafinerię eksploatowało niemieckie towarzystwo „Beskiden Verarbeitung Gesellschaft". Nowi właściciele rabunkowo wykorzystywali urządzenia zakładu, produkując na potrzeby hitlerowskiej armii, a współpracujący z gestapo zarząd przedsiębiorstwa terroryzował polską załogę, zmuszając ludzi do niemal niewolniczej pracy. System zastraszania nie przyniósł jednak pożądanych przez okupanta skutków. Robotnicy sabotowali produkcję, sobie tylko znanymi sposobami wywożąc z fabryki co się dało, przechwytywali całe cysterny produktów, odnajdywane później przez okupanta nawet w Austrii i Czechosłowacji. Nie pomagały wzmocnione straże, dodatkowe zamknięcia i plomby: przemycane z rafinerii paliwa zaopatrywały miejscowe oddziały partyzanckie.

Gdy zbliżał się ze wschodu front, Niemcy zaczęli ogałacać zakład z maszyn i surowców. Choć polscy robotnicy próbowali ratować wyposażenie i urządzenia, hitlerowcy skutecznie niszczyli to, czego nie udało im się wywieźć. Reszty zniszczenia dopełniły dwudniowe walki o Gorlice, artyleryjski ostrzał uszkodził większość instalacji i część budynków, wywołał pożar zbiorników ropy. Pierwsze dni wolności zastały rafinerię w gruzach i zgliszczach.

Kolumnę „Sprawy Glimaru" redaguje JANUSZ WÓJCIK

„Intech"

O usługowej spółdzielni „Intech" krąży po „Glimarze" wiele sprzecznych, sensacyjnych nieraz informacji. O bliższe dane poprosiłem jej prezesa, **Tadeusza Majkę**.

— Powstały w styczniu ubiegłego roku „Intech" jest firmą działającą na podobnych zasadach prawnych, jak każde przedsiębiorstwo państwowe: płaci podatki, ma statutowe organa, podlega kontroli. Spółdzielnia prowadzi na razie tylko działalność usługową, choć statut przewiduje również podejmowanie produkcji. „Intech" działa obecnie na terenie dwóch województw, ale najpoważniejsze prace wykonuje w Rafinerii i Gorlicach.

Spółdzielnia zatrudnia na stałe trzy osoby, przystępując do prac zawiera z robotnikami umowy-zlecenia na wykonanie konkretnych czynności. Zależnie od rodzaju robót angażujemy określoną ilość pracowników, w poprzednim roku zarobkowało w „Intechu" około dwustu osób. Wykonujemy przede wszystkim remonty, montaż i demontaż urządzeń, prace ziemne itp; w zeszłym roku dostaliśmy około 60 propozycji robót.

Kodeks pracy nie pozwala zmuszać ludzi do robót w godzinach nadliczbowych, zatrudnieni w państwowych zakładach chętnie korzystają z tego prawa, gdy stawki za ponadgodziny są niskie. „Intech" oferuje wyższe zarobki, wynagradza robotników nie za czas włożony w wykonanie danej czynności, ale za jej zrobienie. Dlatego wydajność pracy jest wyższa w spółdzielni niż w „Glimarze".

Przyjęliśmy zasadę, że koszt brutto naszej roboczogodziny będzie niższy od ceny roboczogodziny innych, podobnych przedsiębiorstw. Chcemy w ten sposób ułatwić Rafinerii dostęp do względnie taniej siły roboczej. Obecnie godzina pracy robotnika Spółdzielni kosztuje 2 tysiące złotych, podczas gdy zatrudnione w zakładzie firmy żądają od 3,5 do 7 tysięcy złotych. Gdyby nie obłożenie wysokimi podatkami, sięgającymi do 90 procent zysku, nasza roboczogodzina byłaby warta 1500 złotych, a mimo to działalność firmy byłaby opłacalna. Dzięki niewielkim kosztom własnym zadowalamy się niskim, kilkuprocentowym zyskiem, co i tak wystarcza na konkurencyjne płace.

Finansowe przepisy, dotyczące nowo powstałych jednostek gospodarczych, zmuszają do ostrożnego planowania działalności „Intechu". Na dobrą sprawę dopiero w czwartym kwartale wiadomo, jak rozliczać bieżący rok, dlatego często balansujemy na krawędzi bankructwa.

Obecność Spółdzielni w zakładzie nie wszystkim się podoba, wyższe zarobki powodują zawiść. Zarzuca się „Intechowi", że wykonuje roboty w godzinach pracy, wykorzystując materiały przedsiębiorstwa. Wszyscy, którzy chcą poznać prawdę, mogą sięgnąć po odpowiednie dokumenty, znajdujące się w Rafinerii.

Za wcześnie na komputery

Ostatnio środowisko inżynierskie „Glimaru" poruszyła informacja, że zakład zamierza modernizować funkcjonujący od połowy lat pięćdziesiątych wydział destylacji rurowo-wieżowej. Wiadomość ta powinna być przyjęta z aplauzem: coś się jednak robi, aby unowocześnić starą Rafinerię. Ale gdy wejrzeć w szczegóły sprawy, dostrzeże się, że ma cechy rozrzutnych, nie przemyślanych inwestycji lat siedemdziesiątych.

Otóż modernizacja ma polegać głównie na tym, że zakład sprowadzi nowe, zelektronizowane urządzenia, sterujące procesami technologicznymi destylacji. Do wysłużonej, zdezelowanej „syrenki" nie montuje się silnika nowoczesnej „lancii delty". Podobnie i tu: delikatny komputer, w odpowiednich warunkach dający wyraźne efekty jakościowe i ekonomiczne — nie potrafi współpracować z instalacją wybudowaną w innej, wcześniejszej epoce technologicznej. Instalacja DRW to pewna spójna całość. Zastosowanie komputerowego systemu sterowania procesami produkcyjnymi wymagałoby bardzo kosztownych, poważnych przeróbek wielu urządzeń, ale i wtedy możliwości komputera będą wykorzystane tylko częściowo. Na dobrą sprawę należałoby wybudować nową instalację.

Elektroniczne, „inteligentne" urządzenia wymagają zachowania dobrej, stałej jakości technologicznych mediów. Tymczasem klasa stosowanej w Rafinerii technicznej pary, wody, sprężonego powietrza i energii elektrycznej jest zła, często się zmienia (np. woda, czerpana z rzeki Ropy, nie jest filtrowana, po deszczach bywa mętna). Przy tak niskiej jakości środków produkcji komputer najprawdopodobniej wstrzyma pracę instalacji — chyba, że odpowiednio „przytępi się" jego czułość, ale wówczas jego działanie niewiele będzie się różniło od funkcjonowania dotychczasowej aparatury sterującej.

Istnieje jeszcze jedna bariera: jakość destylowanej ropy naftowej. Przywożony do „Glimaru" surowiec pochodzi z wyeksploatowanych złóż, technologia jego wydobywania powoduje, że ropa ma nawet piętnaście i więcej procent zanieczyszczeń. Nowoczesne urządzenia nie są przystosowane do przetwarzania surowca tak niskiej jakości.

Zakup zelektronizowanego sterowania produkującą paliwa instalacją DRW wiąże się ze znacznie poważniejszym problemem, dotyczącym strategii rozwoju zakładu. Obecnie „Glimar" wytwarza wiele wyrobów, tymczasem znawcy przedmiotu postulują, aby asortyment produkcji ograniczyczyć, skoncentrować prace nad wytworami dochodowymi, wymagającymi finezyjnych technologii, w których zakład mógłby z powodzeniem konkurować z innymi tego typu firmami. Rafineria nigdy nie osiągnie dużych zysków z przeróbki paliw. Nie pozwalają na to ani przestarzałe, mało wydajne instalacje, ani szczupłość miejsca, przeszkadzająca w rozbudowie stanowisk do niezbędnego, kolejowego transportu dużych ilości surowców i produktów.

Pracodawca — „Glimar"

— Rafineria wciąż przyciąga nowych pracowników dobrymi zarobkami — mówi kierownik działu osobowego, **Janusz Wiatr.** — Tylko w kilku zawodach wakują etaty, na przykład w straży przemysłowej. Zajęcie to uważa się za nieprzyjemne: strażnicy muszą kontrolować bramę, sprawdzać, co wywożą samochody. Nadal też nie ma wielu chętnych do podjęcia zawodu torowego i czyściciela cystern — ze względu na warunki pracy. Najtrudniej o czyścicieli: z piętnastu osób, które chcia ło poznać to zajęcie, zdecydowała się pozostać... jedna. Natomiast w grupie pracowników umysłowych fluktacja jest znikoma, braki w obsadzie uzupełniane są natychmiast.

Zakład ma więcej swobody niż niegdyś w doborze ludzi, mimo to zwerbowanie osoby mającej zawód sterowniczego lub aparatowego przemysłu chemicznego nie jest łatwe. Kilka lat temu w gorlickim Zespole Szkół Mechanicznych utworzyliśmy klasę zawodowego liceum chemicznego. Mimo sugestii zakładu, by na ten kierunek przyjmowano jedynie chłopców — klasę zdominowały dziewczęta, a przecież kobiety nie mogą pracować w uciążliwych warunkach, panujących w produkcyjnych wydziałach Rafinerii.

Powoli powstaje w kraju rynek pracy, a o dobrze płatne zajęcie naprawdę trudno. W interesie „Glimaru" jest utrzymać pozycję atrakcyjnego pracodawcy.

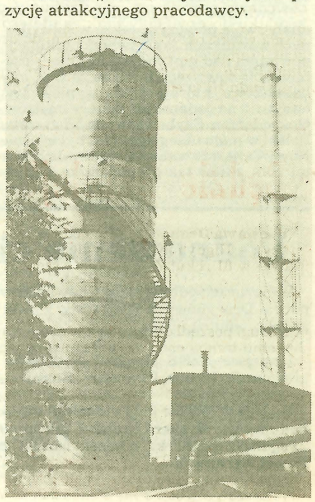

Fot. ANDRZEJ BARA

Głos Glinika

Gdzie będziemy mieszkać?

Jan Wiercioch, zajmujący się sprawami inwestycji, opracował informację dotyczącą sytuacji budownictwa wielorodzinnego prowadzonego przez „Glinik".

Budynki przy ulicy Gwardii Ludowej. W związku w wydanymi przez władze miejskie decyzjami zatwierdzającymi plan realizacyjny wykupiono od czterech właścicieli tereny i rozebrano znajdujące się tam budynki. Dalsze działania zostały wstrzymane wskutek uchylenia decyzji lokalizacyjnej drugiej instancji (architekta wojewódzkiego) przez Naczelny Sąd Administracyjne . Obecnie „Inwestprosek jednego z właścicieli terenu). Podjęto więc działania zmierzające do uzyskania nowego wskazania lokalizacyjnego, zgodnego z zapisem w planie ogólnym Gorlic. Od nowej decyzji architekta miejskiego w sprawie lokalizacji budynków 1A i 1B, odwołało się trzech właścicieli gruntów. Architekt wojewódzki utrzymał zaskarżoną decyzję — niestety, może być ona jeszcze zaskarżona do Naczelnego Sądu Administacyjnego. Obecnie „Inwestprojekt" w Nowym Sączu aktualizuje dokumentację techniczną poprzez wprowadzenie w parterze jednego z budynków pomieszczeń dla administracji gospodarczej fabryki oraz Komitetu Osiedlowego.

Budynek przy ulicy Marii Konopnickiej. W sprawie jego lokalizacji otrzymaliśmy pismo ministra gospodarki przestrzennej i budownictwa, nakazujące ponowną analizę zasadności zatwierdzonej lokalizacji. Aby definitywnie rozstrzygnąć spór, niezbędne jest spotkanie wszystkich zainteresowanych stron. Wpłynęło także pismo 66 pracowników fabryki — oczekujących na mieszkania i żądających od dyrekcji zdecydowanych i stanowczych działań umożliwiających podjęcie budowy domu przy ulicy Konopnickiej. Brak ostatecznej decyzji o eksmisji dotychczasowych użytkowników 42 garaży uniemożliwia rozpoczęcie prac przygotowawczych.

Blok przy ulicy Węgierskiej. Trwają prace przygotowawcze: rozebrano już ogrodzenie, schody i magazyn, wycięto drzewa i uporządkowano teren. Zainstalowano linię zasilającą. Trwają prace przy ujęciu i odprowadzeniu wody oraz budowie sieci wodociągowej i gazowej. Według wstępnych ustaleń z wykonawcą — Jasielskim Przedsiębiorstwem Budowlanym — w bieżącym roku ma być zrealizowany stan zerowy budynku, zaś w przyszłym blok oddany do użytku.

Budynek przy ulicy Pod Lodownią. Uzyskaliśmy już wskazanie lokalizacyjne. W budynku ma znajdować się 35 mieszkań. Obecnie dokonuje się niezbędnych uzgodnień, zaś sądecki „Inwestprojekt" wykonuje projekt bloku. Rozpoczęcie prac planuje się pod koniec przyszłego roku.

Pracownicza Spółdzielnia Mieszkaniowa przy „Gliniku" przygotowuje się do budowy domków jednorodzinnych w osiedlu „Węgierska I". Pierwsze 8 domów planuje się rozpocząć w drugim kwartale przyszłego roku. Całość — czyli 27 domów — ma być zakończona w ciągu 2 lat.

Opracowywane są perspektywiczne założenia budowy zakładowych domów w osiedlach „Zawodzie", „Krakowska IV", „Kościuszki" i przy ulicy „Na Wsie". Łącznie do 1992 roku fabryka planuje uzyskać 199 mieszkań. Mamy również propozycje lokalizacji po 1992 r. 1174 mieszkań, a Pracownicza Spółdzielnia Mieszkaniowa — 44 mieszkań. Pod budownictwo jednorodzinne obiecano naszemu przedsiębiorstwu 199 działek.

Na koniec sprawa garaży przy ulicy Krasińskiego: zatwierdzony plan realizacyjny pozwala wybudować 27 garaży. Podjęte działania w celu poszerzenia terenu (wykup działki) nie przyniosły efektu. Architekt miejski — mimo naszych licznych monitów — nie jest w stanie wskazać innych terenów umożliwiających wybudowanie wymaganej ilości garaży. Podjęliśmy rozmowy z Ligą Obrony Kraju w Gorlicach, aby pozwoliła nam na budowę garaży na terenach będących w jej dyspozycji, w zamian za udział „Glinika" w kosztach budowy drogi dojazdowej do budowanego ośrodka Ligi. Rozważamy też możliwość usytuowania garaży na terenach będących własnością fabryki (w pobliżu budynku oddziału remontowego). W osiedlu „Krasińskiego" przystąpiono już do prac związanych z budową drogi dojazdowej i posadowienia garaży, przełożono także sieć gazową.

Do czego „Glinik" dopłaca"

Autobusy z „Glinika" dowożą ludzi nawet z odległych o 45 km od Gorlic Kątów w Krośnieńskiem, a także z Jastrzębia i Korzennej (odległych od Gorlic o 39 km). Będzie to kosztowało fabrykę w tym roku 300 mln zł. — *Gdybyśmy zrezygnowali z tego świadczenia, pracownicy musieliby płacić miesięcznie za dowóz co najmniej 100 tys. zł.* — mówi **Józef Rak**, główny specjalista do spraw obsługi socjalnej załogi.

„Glinik" administruje 1564 mieszkaniami, których utrzymanie będzie kosztować zakład 280 mln zł. 120 mln zł pochłoną w bieżącym roku koszty utrzymania stołówki zakładowej oraz posiłków profilaktycznych (zimą wydaje się ich około 3500, zaś latem — 1500).

W sprawie Gorlickiego Centrum Kultury fabryka ma podpisaną umowę z naczelnikiem miasta i pokrywa tylko utrzymanie 9 osób z kadry pomocniczej (w bieżącym roku kosztują oni zakład 20 mln zł.). 55 mln zł trzeba zapłacić za utrzymanie obiektów sportowo-rekreacyjnych, z których korzystają wszyscy gorliczanie.

Józef Rak informuje: — *W tym roku fundusz wczasowy wyniósł 185 mln zł. Ta kwota obejmuje dopłaty do wczasów oraz utrzymanie naszych trzech ośrodków wypoczynkowych — w Wysowej, Gródku i Dziwnowie. 23 mln zł kosztowały nas kolonie dla dzieci pracowników. Ponadto z funduszu socjalnego kupowaliśmy upominki dla kobiet z okazji ich święta oraz dla dzieci. Wypłacamy także zapomogi rencistom i emerytom, ale przy obecnej inflacji są to raczej symboliczne kwoty. Bo co można kupić za 10 tys. zł? Cały fundusz socjalny w bieżącym roku (nie obejmuje on kosztów dowozu pracowników oraz utrzymania bloków zakładowych) wyniesie 330 mln zł.*

Staramy się gospodarować oszczędnie. Może dlatego obiady w naszej zakładowej stołówce są najtańsze w Gorlicach, bo za 750 zł można sobie już dobrze podjeść. Żeby jednak tak było, kierownik stołówki jeździ po terenie szukając mięsa. Nie korzystamy z usług pośredników i na przykład tuczniki sprowadzamy aż z Białej Podlaskiej. W bieżącym roku fabryka rozprowadziła między pracowników 500 ton ziemniaków. Na gorlickim targu za metr rolnicy chcieli od 30 do 35 tys. zł, a nam chłopi przywieźli z Białostockiego smaczne kartofle po 22 i 23 tys. zł. Dziwię się gorlickim handlowcom, że jeszcze nie pojęli, iż aby mieć zyski — należy obracać dużą ilością różnorodnych artykułów, a nie małą ilością drogich.

Pracujemy rzetelnie

Nie ma wyrobu w fabryce, który nie trafiłby do wydziału ekspedycji. Stąd zapakowane produkty wyruszają do odbiorców. W bieżącym roku będzie ich łącznie 150 tys. ton, w tym wyrobów gotowych — 103 tys. ton (z czego na eksport — 20 tys. ton), złomu — 40 tys. ton oraz 7 tys. ton towarów sprzedanych innym przedsiębiorstwom. Średnio w ciągu miesiąca „Glinik" opuszcza 450 wagonów wiozących około 9 tys. ton wyrobów. Około 120 wagonów miesięcznie wyjeżdża za granicę, przede wszystkim do ZSRR, Czechosłowacji, Danii, Rumunii, Bułgarii, RFN i Chin. Towary transportowane są także samochodami — 25 ciężarówek miesięcznie opuszcza zakład.

— *Pracujemy rzetelnie, choć w bardzo ciężkich warunkach* — mówi kierownik wydziału ekspedycji, **Tadeusz Kłapsa.** — *Wydział zatrudnia 51 osób, większość to pracownicy fizyczni. Niestety, fabryka nie posiada magazynu wyrobów gotowych z prawdziwego zdarzenia, wraz z odpowiednim wyposażeniem. Dysponujemy niewielkim pomieszczeniem, które nie mieści wielu towarów. Mamy tylko jedną suwnicę i to z... 1909 roku. Te trudne warunki, a zwłaszcza konieczność zabierania wyrobów z placów przy poszczególnych wydziałach, do których jest nierzadko utrudniony dostęp, bardzo wydłużają naszą pracę. Problemy stwarza również nierytmiczność produkcji, a przez to niestabilny spływ towarów. Szczególnie pod koniec miesiąca mamy pełne ręce roboty, zaś kolej musi nam dostarczać duże ilości wagonów. Tylko dzięki zrozumieniu naszej sytuacji przez kierownictwo stacji kolejowej Gorlice-Zagórzany mamy w okresach spiętrzonego załadunku dodatkowe wagony. Wielkim kłopotem jest również dla nas zmienianie się z dnia na dzień cen, wskutek czego nie możemy wystawiać wcześniej faktur. Jednak mimo tych utrudnień oraz nie najlepszych zarobków — załoga mojego wydziału pracuje solidnie, dobrze wykonując nałożone na nas obowiązki.*

Po pierwszej turze

Wyniki pierwszej tury wyborów do Rady Pracowniczej komentuje przewodniczący Zakładowej Komisji Wyborczej, **Krzysztof Buliński:** — Głosowało 63 procent załogi, podobnie jak w poprzednich wyborach. Niestety, głosy rozłożyły się tak nieszczęśliwie, że po pierwszej turze przeszedł tylko jeden kandydat — **Marian Pabis**, kierowca z transportu wewnętrznego. Wybory trzeba więc powtórzyć.

Zakładowa Komisja Wyborcza i komisje obwodowe pracują już od września. Od początku obserwujemy brak zainteresowania większości załogi wyborami do organu samorządowego. — *Skoro poprzednia Rada miała związane ręce, to czy nowej uda się wiele zdziałać?...* — powątpiewają pracownicy. Były więc kłopoty ze znalezieniem kandydatów do Rady Pracowniczej, a sami kandydaci nie kwapili się z przedstawianiem swojego programu działania i zainteresowań. W rezultacie aż w 9 obwodach wybory okazały się nieważne. Pracownicy zgłosili także uwagi do niektórych zapisów ordynacji wyborczej, rzeczywiście nie zawsze najtrafniejszych. Słuszne zastrzeżenia nasza komisja da pod rozwagę członkom Ogólnego Zebrania Delegatów.

Radzieccy goście

Przez pięć dni w fabryce przebywała delegacja moskiewskiego Instytutu Doświadczalnego Ministerstwa Górnictwa. O celu wizyty radzieckich gości informuje główny technolog, **Julian Roman:**

— Radzieccy naukowcy odwiedzili wcześniej cztery zakłady w naszym kraju. W każdym zapoznali się z najnowocześniejszymi i najbardziej efektywnymi technologiami. Podpisali umowy w sprawie wymiany myśli technologicznej (na przykład z hutą im. Karola Świerczewskiego w Katowicach i zakładem w Piotrkowie Trybunalskim). Interesowały ich technologie stosowane przy produkcji sprzętu dla górnictwa.

W „Gliniku" moskiewscy naukowcy zwiedzili wszystkie wydziały fabryki. Bardzo pozytywnie ocenili szeroki asortyment naszych wyrobów, metody technologiczne oraz maszyny i narzędzia. Bardzo dobrze mi się z nimi rozmawiało na fachowe tematy. Podpisaliśmy umowę na trzy lata, dotyczącą wymiany myśli technologicznej. Rosjanie zaproponowali między innymi metodę zwiększania trwałości eksploatacyjnej elementów narażonych na intensywne zużycie w czasie pracy, a także nowe metody wykonawstwa procesów spawalniczych, napawania utwardzającego elementów maszyn oraz bardzo ekonomiczne procesy obróbki galwanicznej. Fabryka ze swojej strony zaoferowała, że udostępni zasady postępowania przy wykonywaniu cylindrów hydraulicznych metodą roztaczania z dogniataniem wraz z adaptacją obrabiarek do tego celu oraz metodą szybkiego cięcia rur wraz z regeneracją narzędzi służących do cięcia. Ponadto wspólnie ustaliliśmy zagadnienia, którymi w najbliższym czasie będziemy się zajmować. W pierwszej połowie przyszłego roku delegacja fabryki złoży rewizytę w Instytucie Doświadczalnym Ministerstwa Górnictwa w Moskwie oraz przedsiębiorstwach radzieckich, w których stosuje się technologie opracowane w moskiewskim instytucie.

Radzieccy goście, którym przewodniczył **Oleg Konstantinowicz Gwozdew**, zapewnili nas, że oprócz wymiany myśli technicznej chcieliby także nawiązać współpracę z naszymi związkowcami i organizacjami młodzieżowymi.

Fabryka ma już podpisane umowy o wzajemnej współpracy z zakładem Szacht NIUJ (także z Moskwy) oraz z przedsiębiorstwem górniczym w Uljanowsku. Bardzo cenimy sobie takie kontakty. Ważne jest przede wszystkim to, że w naszej współpracy obywamy się bez zbędnych pośredników, że w bezpośrednich kontaktach między zakładami możemy poznawać metody lepszej organizacji pracy, zwiększenia produkcji i poprawienia jej jakości.

Będzie weselej?

Wiesława Drabarek, suwnicowa (25 lat pracy): — Nigdy nie było tak źle jak teraz. Nawet w 81 roku! Żyję od pierwszego do pierwszego, załatwiając tylko bieżące potrzeby. Pensji wystarcza „na styk". Mam czteroosobową rodzinę, jeden syn w wojsku, drugi poszedł do szkoły średniej. Pierwszemu trzeba co nieco podrzucić, choćby gotówki. A drugi? Na początek roku kupiliśmy mu podręczniki, zeszyty, spodnie — polskie „wycieruchy", bilet miesięczny, czepek i fartuch, bo syn uczy się w szkole gastronomicznej. Poszło prawie 100 tys. zł. Torbę na książki sama uszyłam. Rodzinę żywię najtańszymi produktami. Mięso kupuję tylko na niedzielę, czasami wystarcza go jeszcze na poniedziałek. W pozostałe dni jemy placki ziemniaczane, naleśniki, pierogi. Miałam do niedawna zapas ryby, ale teraz i ryba wydaje mi się za droga. Ceny rosną z dnia na dzień. Jak tu żyć? Mąż przyniósł mi ostatnio 220 tys. zł. A przecież trzeba kupić ziemniaków na zimę, jabłek, cebuli... Z czego? Ledwie wystarcza na codzienne posiłki.

Polityką nie interesujemy się zupełnie. Od 1981 roku zobojętnieliśmy. Obydwoje z mężem odczuwamy zniechęcenie. Nie wiem, czy uda się wyjść z tego dołu. Mój starszy syn ma dziewczynę, chce się żenić. Jest właścicielem książeczki mieszkaniowej. Od dziecka! Nie dostał się do żadnej spółdzielni i nie ma na to szans... Może zamieszkają po ślubie u jej rodziców. Ale — czy to jest przyszłość?

Pamiętam, że w jednym z dzienników telewizyjnych minister pracy, Jacek Kuroń, odpowiadając na pytania dziennikarzy o jego plany odpowiedział dowcipnie: — *Nie wiem, czy będzie lepiej, ale na pewno weselej...* Nie powiedział tylko, czy wszystkim będzie weselej.

na ekranie TV

PIĄTEK — 10 XI

PROGRAM I

8.05 Muzyka, kl. 2 — kolorowa muzyka
8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „A jeśli będzie jesień" — film fab. prod. polskiej reż Henryk Tadeusz Czarnecki — wyk.: Jadwiga Andrzejewska, Janusz Paluszkiewicz
10.40 „Domator"
11.10 Drogi do Niepodległej — gorąca wiosna w Europie.
12.50 Przybysze z Matplanety — pechowy słoń
13.30 TTR — matematyka, sem. 1 — znaczenie dramatów Szekspira w kulturze światowej
15.10 „W szkole i w domu"
15.30 NURT — problemy zdrowia współczesnego człowieka
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Rambit" — teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego"
17.15 Teleexpress
17.30 „Raport"
17.50 „Ułan Krechowiecki" — film dok. Romualda Dobrzyńskiego
18.25 Magazyn konsumentów „Stop"
18.45 Weekend w „Jedynce"
19.00 Dobranoc „Kret i buldożer"
19.30 Dziennik telewizyjny
20.05 Akademia filmowa — „Odlot" — film fabularny prod. USA reż. Milos Forman — wyk.: Lynn Carlin, Buck Henry, Linnea Heacock
21.35 Sport
21.45 „Kontrapunkt"
22.15 „Otwarte studio"
23.15 DT — echa dnia
23.30 „Otwarte studio" (cd)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego"
18.00 Kronika
18.30 Program publicystyczny
18.50 „Szansa"
19.30 „Dookoła świata" — „W świątyniach Indii"
20.00 Magazyn „Piątek"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Nie podskakuj" film fab. prod. kanadyjskiej reż. John Howe — wyk.: Stuart Gillard, Tiiu Leek, Ken James
23.40 Komentarz dnia

SOBOTA — 11 XI

PROGRAM I

7.00 TTR matematyka, sem. III — linia prosta
7.30 TTR historia, sem. III — wiek ideologii
8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie" — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 „Drops" — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz kino „Dropsa" — „Jelonek" (1)
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Z Polski rodem" — magazyn polonijny
11.10 „I wzleciał Orzeł Biały..."
11.50 Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza
13.10 „Listy polskie" — Marty Ptaszyńskiej — oratorium na rocznicę odzyskania niepodległości
13.55 Telewizyjny teatr prozy „Maria Dąbrowska — Dzienniki 1914-1925" reż. Anna Minkiewicz, wyk. Zofia Kucówna
15.00 „Szkoła mistrzów" — Witold Sobociński
15.40 „Józef Piłsudski" — film dokumentalny Witolda Zadrowskiego
16.45 „Do trzech razy sztuka"
17.15 Teleexpress
17.30 „Piosenka ci nie da zapomnieć" — film dok. Marii Kwiatkowskiej o kompozytorze Henryku Warsie
18.35 „Butik"
19.00 Dobranoc „Przygody misia Colargola"
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt" — jesień
19.30 Dziennik telewizyjny
20.05 Prapremiery starego kina — „Młody las" — film archiwalny produkcji polskiej z 1935 r. reż. Józef Lejtes, wyk.: Maria Bogda, Adam Brodisz, Tekla Trapszo, Michał Znicz, Kazimierz Junosza Stępowski, Władysław Walter i inni
21.25 Sport
21.45 „Tydzień w polityce" — komentuje Karol Szyndzielorz
21.55 „Jeszcze Polska nie zginęła" — XXV Festiwal Piosenki Polskiej — Opole'88
22.45 Telegazeta
22.50 Kino nocne — „Zabójstwo prokuratora" — film prod. włoskiej reż. Damiano Damiani, wyk.: Franco Nero, Francoise Fabian
0.40 Zakończenie programu

PROGRAM II

14.00 „5-10-15" — program dla dzieci i młodzieży
15.25 „W świecie ciszy" — program dla niesłyszących
15.50 Małe kino — „Najtrudniejsza ściana" — film dokumentalny Anny Pietraszek
16.25 Telewizyjny koncert życzeń
16.55 Program dnia
17.00 „Ostatni legioniści" — film dok. Aliny Czerniakowskiej
18.00 Kronika
18.30 „Brat Albert" — widowisko dokumentalne o Adamie Chmielowskim
19.30 „Alfa i omega"
20.00 Pieśni patriotyczne
20.30 „Józef Czapski" — świadek historii" — film dok. Ewy Cendrowskiej
21.05 „Muzyka i polityka" (5) — „Pieśń o wodzu miłym"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton" (1) — serial produkcji angielskiej reż. Charles Jarrott w roli głównej Farah Fawcett
22.35 Jacek Stwora „Co jest za tym murem?" (3) — „Człowiek — sygnet"
22.55 Komentarz dnia

NIEDZIELA — 12 XI

PROGRAM I

7.00 „Witamy o siódmej"
7.20 „Notowania"
7.45 „Po gospodarsku" — magazyn spraw wiejskich
8.15 „Tydzień"
8.50 Program dnia
8.55 Kino teleranka „Janka" (8) serial produkcji polsko-zachodnioniemieckiej
9.25 Uroczystości kanonizacji błogosławionego brata Alberta Chmielowskiego — transmisja z bazyliki św. Piotra w Rzymie
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.55 Teatr dla dzieci — Elżbieta Zaleska „Palcem po mapie" reż. Barbara Borys-Damięcka, wyk.: Zofia Merle, Magdalena Kuta, Agnieszka Pilaszewska, Jerzy Bończak, Lech Łotocki i inni
13.40 Sportowa niedziela
14.30 „Ballada o Kobylinie" — widowisko publicystyczne
15.10 „Antena"
15.35 „Panna dziedziczka" (27) — serial
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny teatr rozmaitości — Raymond Chandler „Żegnaj, laleczko" (3-ost.) reż. Laco Adamik
19.00 Wieczorynka „Siostrzeńcy kaczora Donalda"
19.30 Dziennik telewizyjny
20.05 „Tanamera" (4) — serial
21.00 „7 dni — świat"
21.30 Sport
22.10 Telegazeta
22.15 Filmy Józefa Błachowicza — „Uroczysko"
23.00 Zakończenie programu

PROGRAM II

9.25 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
10.00 Film dla niesłyszących „Tanamera" (4)
10.50 „Peryskop"
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 „Jutro poniedziałek"
12.15 Program dnia
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 „100 pytań do..."
13.10 Podróże w czasie i przestrzeni — „Wędrówki ludów nad Pacyfikiem" (2) — serial dok. prod. australijskiej
14.05 Kino familijne — „Niebezpieczna zatoka"
15.05 „Polacy" — „Kilka epizodów z życia aktora — Andrzej Łapicki" — film dok. Anny Wójcik
15.55 „Być tutaj..." — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 „Zbliżenia, czyli to i owo w filmie"
17.00 Studio sport
17.30 „Bliżej świata" — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic"
19.30 „Hans Peter Reuter — przestrzeń — światło — struktura" — film dok. Franciszka Kudyka
20.00 Studio sport — piłka w grze
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć" (11) — serial
22.35 „Akademia wiersza"
22.45 Komentarz dnia

Powrót do prawdy

Wiele osób o nastawieniu dziś wybitnie prorządowym przez całe lata z wielkim przekonaniem krytykowało właściwie każde z ekonomicznych rozwiązań proponowanych czy też wprowadzanych przez poprzednie ekipy. Piętnowano deficyt w budżecie państwa wskazując na łatwiutkie metody pozbycia się tego kłopotu: cofnąć dotacje, rozpędzić administrację i MSW. Wyszydzano opodatkowanie funduszu płac („popiwek") jako instrument nieskuteczny i antymotywacyjny. Każda podwyżka cen przyjmowana była jako dowód nieudolności rządu i obelga rzucona w twarz społeczeństwu. Nie było zgody na reformowanie, które cokolwiek miałoby kosztować. Władza powinna działać szybko, lecz uzgadniać wszystko w pełnym dyskusyjnym cyklu. Żadnych uprawnień nadzwyczajnych, żadnych bankructw — bo któż wie, co jest opłacalne przy tych cenach wziętych z powietrza? Zaledwie przed paroma tygodniami odrzucono indeksację wyrównawczą, przyjmując powszechną głosami nowej koalicji, chociaż posłowie z klubu PZPR ostrzegali przed hiperinflacją.

Jakże szybko potwierdziła się reguła, zgodnie z którą punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Nowy rząd wystąpił o zgodę na zwiększenie deficytu w budżecie o półtora biliona złotych, bo bez tego należałoby zamknąć szkoły, kopalnie, szpitale. Cofnięcie dotacji, pomysł w ogóle już dawno opatentowany, okazało się ruchem o groźnych skutkach, jeżeli zostanie wykonany nagle. Nowy minister finansów i KERM uznali za właściwe zaostrzenie „popiwku", a nawet próbowano przeforsować ustanowienie przepisu antydatowanego — aż ktoś przypomniał, iż prawo nie powinno jednak działać wstecz. Pierwsze ruchy, jakim patronował nowy rząd, pochodzą z tradycyjnego repertuaru: podwyżka cen alkoholu, benzyny (rząd o tym nie wiedział...), ceł, papierosów. Przystąpiono do sprzedaży obligacji przygotowanych przez poprzedniego ministra finansów. W Senacie pojawiła się propozycja przyznania rządowi uprawnień nadzwyczajnych i skrócenia cyklu legislacyjnego przez ograniczenie dyskusji nad każdym projektem do jednego głosu „za" — jednego „przeciw"... Przywrócono do formuły indeksacji wyrównawczej, bo powszechna odznacza hiperinflację, podniesienie przeciętnej płacy w grudniu o ok. pół miliona złotych.

Poprzednia krytyka miała więc wyłącznie polityczne intencje. Gdy zabrakło przeciwnika, rozpoczął się powrót do prawdy zawartej w rozwiązaniach ekonomicznych. Niedawne argumenty własne, gdyby je serio potraktować, spowodowałyby bowiem zatrzaśnięcie pułapki, szczególnie widocznej w przypadku indeksacji pełnej i powszechnej, jednakowej i dla tych, którzy nie wzięli ani złotówki jak też dla tych, którzy wystrajkowali swoje dwieście tysięcy. Inaczej zupełnie przemawia się zza „okrągłego stołu", a całkiem inaczej rozmawia przy ustawionym w podkowę, w sali posiedzeń Rady Ministrów. Już prof. W. Trzeciakowski powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Zachodniego": „Nawis inflacyjny musi zostać wyeliminowany" to znaczy „złotówki, które posiadamy będą jeszcze mniej warte". A przecież podwyżki cen, zwłaszcza nie rekompensowane, zawsze były wstępem do strajków. A tu zapowiadają odbieranie pieniędzy wystrajkowanych? Jeden z senatorów postuluje, by przeprowadzić „radykalne reformy bez względu na koszty społeczne" zaś „Gazeta Wyborcza" przygotowuje na „eksperyment, który będzie dużo kosztował". A miała być reforma za darmo. Tak niedawno R. Bugaj wołał: — *Kto to mógł wymyślić, że społeczeństwo musi ponosić koszty wychodzenia z kryzysu?!*

Wygląda na to, że pułapka została zastawiona, lecz weszła do niej inna myszka, a teraz obserwujemy energiczny demontaż klatki.

MAREK BORSKI

OGŁOSZENIA

Fabryka Maszyn Wiertniczych i Górniczych „Glinik" w Gorlicach zleci do wykonania

przedsiębiorstwom uspołecznionym w roku bieżącym i w latach następnych **spawanie konstrukcji stalowych z blach grubości 16 do 80 mm i wadze 200-900 kg.** Konstrukcje mogą być dostarczone do spawania posczepiane. Spawanie na automatach lub elektrodami.

Informacji udziela Sekcja Kooperacji FMWiG „Glinik" w Gorlicach, tel. 28-402 biurowiec pokój 318. K-10386

KOMIS — Zakopane Tetmajera 17 zakupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty. D-52275

POSZUKUJĘ dla ambasady, domu, parceli budowlanej, kamienicy, pensjonatu lub mieszkania z możliwością kupna lub wynajmu, na terenie Zakopanego lub okolicy. Za wskazanie aktualnego adresu kupujący wypłaci nagrodę zastrzegając sobie prawo wyboru. Zakopane, ul. Tetmajera 17 tel: 666-78.

NOWY Sącz i okolice! Mechaniczne czyszczenie dywanów, wykładzin, tapicerki — Sowiński, tel. 219-60 D-52290

KSEROKOPIE — tanio, ekspresowo, wysoka jakość odbitek; zwiększanie, pomniejszanie. Krzysztof Marczak, Nowy Sącz, Szwedzka 1. Ceny umowne, rachunki. D-52299

POLECAMY płytki lastrico na balkony, tarasy, garaże. Nowy Targ, Jana Pawła II 12, lub Groń 53. D-52300

SPRZEDAM „Uaza" z silnikiem „mercedesa" 220 — stan dobry. Wiadomość: Marian Szałęga, Tylmanowa 354 D-49703

SPRZEDAM nową snopowiązałkę. Nowy Sącz, Ruchu Ludowego 7 (Poręba Mała). D-49704

CEMENT „350" — sprzedam. Nowy Sącz, Zawiszy Czarnego 29

PONIEDZIAŁEK — 13 XI

PROGRAM I

13.30 TTR chemia, sem. I — wiązania chemiczne w cząsteczkach
14.00 TTR biologia, sem. I — mszaki i paprotniki
14.30 Telewizjny Kurs Rolniczy — nowości uprawowe
15.00 Muzyka, kl. II — kolorowa muzyka
15.30 NURT — rozmowy o kulturze
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 „Luz" — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 „Gorąca linia"
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie — „Wspaniała Kartagina" — film dok. prod. tunezyjskiej
18.25 „Mieszkać" — wszechnica budowlana
18.45 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Ja ci jeszcze pokażę"
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 Teatr telewizji — Friedrich Schiller — „Wallenstein" — cz. 1 — „Obóz Wallensteina", cz. 2 — „Śmierć Wallensteina" reż. Krzysztof Babicki, wyk.: Stanisław Michalski, Halina Słojewska, Ewa Kasprzyk, Andrzej Nowiński, Halina Winiarska, Henryk Bista, Jarosław Tyrański, Jerzy Łapiński, Krzysztof Gordon, Andrzej Szaciłło i inni.
23.10 Sport
23.20 DT — echa dnia
23.40 Język francuski (5)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (5)
17.20 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 „Ojczyzna — polszczyzna" — język polski pod zaborami
18.00 Kronika
18.30 „Czarno na białym" — przegląd PKF
19.10 Publicystyka kulturalna
19.30 „Życie muzyczne" — upowszechnianie muzyki
20.00 „Auto-moto-fan-klub"
20.30 „Osądźmy sami"
21.15 Rozmowy o cierpieniu"
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie — „Przyjdź, niech się odmłodzę" — film prod. czechosłowackiej
22.55 Komentarz dnia

WTOREK — 14 XI

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Akwen Eldorado" (4-ost.) — serial
10.15 „Domator"
11.10 Od Wersalu do Poczdamu — kryzys 1926 r. i jego następstwa.
12.00 Spotkania z literaturą, kl. VI — J. Słowacki — „Balladyna".
12.50 Wiedza o społeczeństwie
13.30 TTR fizyka, sem. III — prąd zmienny
14.00 TTR biologia, sem. III — motywy i formy ochrony środowiska przyrodniczego.
14.30 Telewizyjny Kurs Rolniczy — jęczmień jary.
15.00 Powtórka przed maturą — spotkania z literaturą
15.30 „Kim być?" — program dla maturzystów
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 Dla dzieci „Tik — tak" oraz „Cudowna podróż" (45)
17.15 Teleexpress
17.30 „Spojrzenia"
17.55 „Klinika zdrowego człowieka"
18.15 „W stronę rynku" — program publicystyczny
18.45 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska"
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 „Akwen Eldorado" (4-ost.) — serial TP
21.05 Sport
21.15 „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej" — „S"
21.55 Studio „Solidarność"
23.25 DT — echa dnia
23.45 Język rosyjski (5)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (35)
17.25 Program dnia
17.30 „Klub ludzi z przeszłością"
18.00 Kronika
18.30 Modlitwa wieczorna — w intencji kraju i świata
18.50 Program publicystyczny
19.30 „Blisko nieba" — magazyn alpinistyczny
20.00 „Non stop kolor" — „Piosenki z Pragi"
21.00 W kręgu sztuki — „Dzieje fotografii" (6)
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego — „Wahadełko" — film prod. polskiej reż. Filip Bajon, wyk.: Janusz Gajos, Mirosława Marcheluk, Halina Gryglaszewska, Dorota Stalińska.
22.45 Komentarz dnia

ŚRODA — 15 XI

PROGRAM I

8.05 Poznaj swój kraj — góry naszym bogactwem
8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Podróż nad morze" — film prod. polskiej reż. Ryszard Rydzewski, wyk.: Iwona Głębicka, Joanna Jędryka, Teresa Lipowska, Tomasz Jarosiński
10.15 „Domator"
12.00 Spotkania z literaturą, kl. VIII — S. Żeromski — „Siłaczka"
12.50 Fizyka — beczka Pascala
13.30 TTR produkcja roślinna, sem. I
14.00 TTR produkcja zwierzęca, sem. I
14.30 Telewizyjny kurs rolniczy — Jęczmień browarny
15.00 Muzyka, kl. I — cicho — głośno
15.30 NURT
16.00 Program dnia — telegazeta
16.05 Dla młodych widzów — „S.O.S. — sami o sobie"
16.30 Dla dzieci „Cojak" — teleturniej
17.00 Program publicystyczny
18.00 Teleexpress
18.15 „Dawniej niż wczoraj"
18.45 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Porwanie Baltazara Gąbki"
19.10 „Oferty Pegaza"
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 „Aktorzy prowincjonalni" — film fab. prod. polskiej reż. Agnieszka Holland, wyk.: Tadeusz Huk, Halina Łabonarska, Jan Ciecierski, Sława Kwaśniewska
22.00 Sport
22.10 „A jednak życie" — festiwal życia (2)
23.15 DT — echa dnia
23.35 Język angielski (5)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (5)
17.25 Program dnia
17.30 „Galeria CIA" — ciekawych inicjatyw artystycznych
18.00 Kronika
18.30 Program rozrywkowy
19.00 „Hotel »Zacisze«" (5) — serial
19.30 „Angola" — program publicystyczny
20.00 Wirtuozi wiolinistyki — Michał Grabarczyk
21.00 Okruchy życia — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — serial TP
22.15 „Telewizja nocą"
23.00 Komentarz dnia

CZWARTEK — 16 XI

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Glina z wyższych sfer" (7) — „Wyścig z czasem"
10.15 „Domator"
11.10 Historia, kl. I lic. — dziedzictwo starożytności
12.00 Spotkania z literaturą, kl. IV — poeci dzieciom
13.30 TTR mechanizacja rolnictwa, sem. III
14.00 TTR produkcja roślinna, sem. III
14.30 Telewizyjny Kurs Rolniczy — pszeżyto
15.00 Rytmy ciała — mało ale często
16.20 Program dnia — telegazeta
16.25 Dla młodych widzów — „Kwant"
17.15 Teleexpress
17.30 „Księża kapelani w służbie Ojczyzny" — wojskowy film dokumentalny
18.00 „Być reporterem" — Aleksander Jałosiński
18.25 „Magazyn katolicki"
18.45 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Przygody rozbójnika Rumcajsa"
19.10 „Teraz" — tygodnik gospodarczy
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 „Glina z wyższych sfer" (7) — „Wyścig z czasem" — serial
21.10 Sport
21.20 „Pegaz"
22.00 Program publicystyczny
22.35 XVI Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych Zamość '89 — Lincoln Beauchamp
23.05 DT — echa dnia
23.25 Język angielski (35)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (5)
17.25 Program dnia
17.30 „Psychozabawy"
18.00 Kronika
18.30 Koncert z okazji 70-lecia Polskiego Komitetu Olimpijskiego
19.30 Zielone Kino — „Trzcinowisko" — film przyrodniczy Joanny Wierzbickiej
20.00 Wielki sport
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio teatralne „Dwójki" — Franz Kafka „Zamek" reż. Marek Grzesiński, wyk.: Piotr Bajor, Adrianna Biedrzyńska, Kalina Jędrusik, Krzysztof Tyniec, Piotr Kozłowski i inni
23.50 Komentarz dnia

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wew. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.
Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III Kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

roku wpatrzona w fotografię Floriana. Nie ma na to rady, nie słucha nikogo.

Pan Wiktor wrócił po świętach nieco smutny czy zadumany. Pochodzi z Czarnego Dunajca. Matka jego wywodziła się z zamożnej rodziny i w posagu wniosła dwie wioski, które mąż wskutek lekkomyślności czy nieudolności roztrwonił. W zasadzie cała majętność rodziców pana Wiktora przepadła. Dwaj starsi bracia w poszukiwaniu chleba trafili do Ameryki. Jedna siostra wyszła za mąż do Krakowa, druga mieszka w Czarnym Dunajcu.

Pan Wiktor jest miły, rozmowny, w miarę dowcipny, ale od początku odnoszę się do niego z rezerwą, której nie umiem sobie wytłumaczyć. Joachim wzruszył ramionami na moje próby szukania przyczyny tych uprzedzeń. Co to jest? Niechęć? Złe przeczucie? Chyba skrępowanie, tak — nareszcie znalazłam odpowiednie określenie. W jego obecności czuję się jak na cenzurowanym.

Dominika z Bogną przebierają się w pokoju, dobiegają mnie ich rozbawione głosy i śmiechy. Bogna nuci piosenkę i wywołuje tym falę wspomnień. Łzy napływają mi do oczu i przerwę chyba pisanie.

Za oknami prószy śnieg, iskrzący się biały puch rozjaśnia trochę ciemność. Zamknęłam sztambuch, podeszłam do okna i przytuliłam się do chłodnej szyby. Co przyniesie nowy rok 1901? Kaziu prorokuje, że ten nowy wiek XX, który zacznie się za kilka godzin, zgotuje światu nieprzewidziane, ogromne zmiany.

A co da w darze mojej rodzinie?

5 stycznia 1901 r.

Walek urządza zabawę w warsztatach kolejowych i prosił mnie z Dominiką o wykonanie kotylionów. Bognie nie wspomniał, bo ona każde popołudnie spędza na spacerach z panem Wiktorem. Chodzą na sanki, odwiedzają Julcię i Anzelma, wpadają czasem do Maryjki i Julka, zachodzą też do kolonii do Justynki i Makarego. Wieczorami siedzimy z Dominiką przy piecu i wykonujemy z bibuły i skrawków materiału pomysłowe kotyliony. Pomaga nam młodsza córka Femci, Nastka, równie żywa i wesoła jak Julcia. Walek przejął się zabawą i chciałby, żeby wpadła niczym bal.

W ostatnich latach zauważyłam zahamowanie w działalności partyjnej wśród kolejarzy, za to ożywił się kolejowy ruch zawodowy. Chcąc wzmocnić organizację partyjną, skierowano wysiłek na wspólnotę gospodarczą robotników. Przed trzema laty kolejarze nowosądeccy założyli pierwszą w Galicji robotniczą spółdzielnię spożywców, zwaną „Samopomocą" albo potocznie konsumem..

Pracują w spółdzielni wyłącznie kolejarze, członkowie „Siły" i partii. Walek oczywiście włączył się w działanie konsumu. Podział zysków dokonuje się wspólnie i sporą jego część kolejarze przeznaczają na oświatę, kulturę, zapomogi dla sierot i wdów, pomoc dla uczniów. W zarządzie konsumu zasiadają najbardziej cenieni działacze partyjni i związkowi. Coraz częściej mówi się na kolei o potrzebie zbudowania domu robotniczego. Dochód z niedzielnej zabawy ma być przeznaczony dla studentów z rodzin kolejarskich. Kotyliony są naszym skromnym udziałem w chwalebnej akcji.

Po kilku dniach

Pan August wynajął mieszkanie po Składkowskich. Jakoś nie ma ono szczęścia do lokatorów. Poprzednio mieszkali tam jacyś cudacy, ani słowa z nikim nie zamienili, chwalić Boga poszli sobie. Potem wprowadziła się tam stara wariatka, która w nocy otwierała okna i krzyczała na cały głos, w dzień natomiast rzucała z okna talerzami i kamieniami. Musieli po nią przyjechać okratowanym wozem i zabrać do domu dla obłąkanych. Długi czas mieszkanie stało puste. Pan August tłumaczył się, że jest mu bardzo dobrze u przyjaciela, ale krępuje go swą przedłużającą się obecnością, przez co nie mogą przyjeżdżać siostry pana Damazego. Poza tym chce zapłosić na lato swego siostrzeńca, ponieważ ów musi zmienić klimat. Korzystając z łagodnego stycznia Maliniak odnowił całe mieszkanie, wstawił nowe szyby w miejsce potłuczonych, przebudował piece, dał nową szamotę. Pan August obstalował niezbędne sprzęty, Femcia uszyła mu portiery i firanki, nabył kilim na ścianę w pierwszym pokoju i chodniki na podłogę. Po pewnym czasie otrzymał ogromną paczkę, jak się okazało z książkami, które ustawił na etażerkach w drugim pokoju. Książki wypełniły mu cały pokój, od podłogi do sufitu stoją opasłe tomiska w skórkowych oprawkach ze złoceniami. Obok etażerek postawił małe biurko z kałamarzem, piórem i stalówkami oraz plikiem papierów. Joachim poszedł oglądać gospodarstwo pana Augusta i wrócił niezadowolony, szarpiąc nerwowo wąsy.

— Czy ty wiesz, jakie on czyta książki? — zapytał poirytowany.

— Nie wiem — odparłam swobodnie, nie chcąc zdradzać swych podejrzeń. — Skąd mam wiedzieć?

Mąż zbliżył się do mnie i powiedział cicho acz dobitnie, ledwo hamując złość:

— Socjalistyczne! Taki wytworny pan i socjalista! Świat naprawdę się kończy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KUCHNIA W CZAS KRYZYSU

Placki po hajducku (zbójnicku). Na 1 osobę — 2 średniej wielkości ziemniaki, 1 łyżeczka mąki, 1 łyżka mięsa — resztki z wczorajszego obiadu gulaszu, pieczeni, gotowanego rosołu — olej lub smalec, sól i pieprz do smaku. Sposób przyrządzenia: surowe ziemniaki zetrzeć na tarce (jak na zwykłe placki), dodać mąkę, osolić, popieprzyć. Jeśli ktoś chce — może dodać jajko, ale nie więcej niż jedno na 4-5 porcji. Mięso drobno pokroić lub przekręcić przez maszynkę. Cała tajemnica oryginalności potrawy kryje się w sposobie smażenia. Otóż na rozgrzany tłuszcz kładziemy łyżkę ziemniaczanego ciasta, nieco rozklepując, na to szybko wrzucamy łyżeczkę farszu mięsnego i zalewamy z wierzchu następną łyżką ciasta. Taki faszerowany placek smażymy z dwóch stron. Podajemy z dowolną surówką. Możemy polać keczupem, śmietaną, sosem grzybowym lub pieczarkowym albo mięsnym (od wczorajszej pieczeni). Jeśli podamy kilka surówek, zróżnicowanych kolorystycznie — mamy eleganckie danie, którym raczymy gości. Jedzą, aż im się uszy trzęsą!

Chlebek sodowy (porcja na dwie średnie podłużne blaszki). 1 kg mąki, 1,5-2 szklanki zsiadłego mleka, 1 płaska łyżka proszku do pieczenia lub pół łyżeczki sody oczyszczonej (spożywczej), 1-2 łyżki oleju (lub 1 łyżka masła, margaryny), 1-3 łyżki cukru, też można dodać 1 jajko (ale nie koniecznie), trochę (1 czubata łyżeczka-1 łyżka) maku. Sposób przyrządzenia: wszystkie składniki mieszamy na jednolitą masę gęstości dobrej, wiejskiej śmietany (gęstość regulujemy ilością zsiadłego mleka). Wkładamy ciasto do natłuszczonych blaszek, pieczemy w średnio gorącym piekarniku mniej więcej 1 godzinę.

Z takiego samego, tylko nieco twardszego (jak na pierogi) ciasta można zrobić **placuszki sodowe.** Ciasto rozwałkowujemy na grubość około 1 cm, wykrawamy szklanką krążki lub nożem trójkąty. Pieczemy na wysmarowanej tłuszczem blasze.

Chlebek lub placuszki, zwłaszcza posmarowane cienko masłem, zastępują najlepsze kanapki.

Kotlety z jajek. Na 1 kotlet bierzemy 1 jajko i 1 malutki ziemniaczek, trochę koperku, szczypiorku lub startej surowej cebuli. Sposób przyrządzenia: jajka na twardo i ugotowane ziemniaki przekręcamy przez maszynkę, solimy i pieprzymy do smaku, dodajemy koperek, cebulę. Mieszamy na jednolitą masę. Formujemy kotleciki (sznycelki), obtaczamy w tartej bułce i smażymy na oleju lub smalcu.

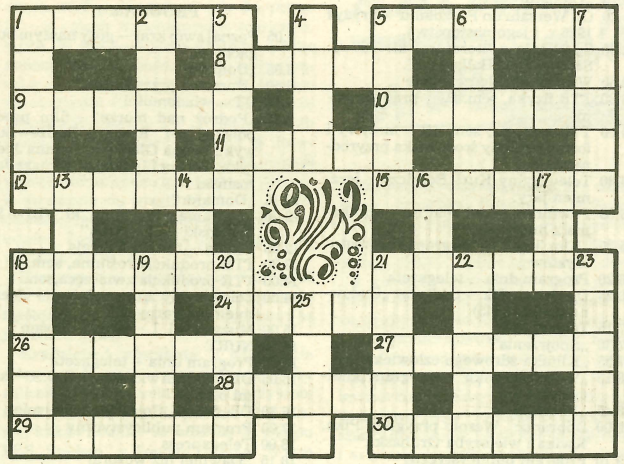

KRZYŻÓWKA NR 45

POZIOMO: 1) gospodarz uczty gruzińskiej, 5) przywóz towarów z zagranicy, 8) dostojnik zarządzający okręgiem administracyjnym, hrabia, 9) przyrząd optyczny, 10) słodki napój alkoholowy, 11) łódź rzeczna, 12) lama o długiej, cienkiej sierści, 15) obchodzi imieniny 30 kwietnia, 18) krajobraz, 21) idea szlachetna, ale nierealna, 24) wyspa na M. Bałtyckim, 26) ostry sos pomidorowy, 27) miasto w Jugosławii, jeden z największych w świecie ośrodków wydobycia rtęci, 28) główna tętnica, 29) bóg morza, 30) giemza,

PIONOWO: 1) kibić, 2) miejsce walki byków, 3) krzyżówkowa zatoka, 4) uosobienie miłości, 5) religia muzułmanów, 6) gra hazardowa, 7) machina oblężnicza, 13) marka dżinsów, 14) wiosną na rzece, 16) dokument prawny, 17) ... Baba, 18) stolica Chin, 19) desant, 20) ubiór męski, noszony pod kontuszem, 21) łódź Eskimosów, 22) dzieło malarza, 23) imię żeńskie, 25) np. kulszowy.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 17 listopada br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 43

POZIOMO: 1) rotang, 5) arenda, 8) ruten, 9) zrosty, 10) taryfa, 11) palmy, 12) słonka, 15) kapela, 18) zapora, 21) niecka, 24) gazda, 26) melasa, 27) nizina, 28) wrzód, 29) kalina, 30) ukleja,

PIONOWO: 1) rezus, 2) akson, 3) grypa, 4) stal, 5) antyk, 6) europ, 7) Agata, 13) łza, 14) kar, 16) ami, 17) luk, 18) zamek, 19) okapi, 20) agawa, 21) nandu, 22) egzul, 23) Akaba, 25) zęza.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 43, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Józef Kukulak** z Dzianisza oraz **Jan Łukaszczyk** z Nowego Sącza.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

HOROSKOP

BARAN: dużo zmian, będziesz z nich zadowolony, przyniosą ci sporo radości — ciągnie cię do tego, co już było i wiesz, że to nie ma sensu.

BYK: trema może cię powstrzymać od zdecydowanych działań, ale szybko minie — nowe sprawy, nowi ludzie, trudne sytuacje, ambicja pomoże ci wybrnąć z wszelkich kłopotów.

BLIŹNIĘTA: niech nie przeraża cię różnica zdań dotycząca ważnej dla ciebie sprawy — pomoże ci to wyrobić sobie własny pogląd, bądź więc cierpliwy.

RAK: musisz być przygotowany na spore komplikacje, kłopoty, które wywołają duże emocje, także u twoich bliskich — bądź delikatny, nie działaj zbyt ostro.

LEW: w kontaktach prywatnych zmąci twój spokój drobiazg, ale bądź przygotowany na niełatwe dni — spokojne, dyplomatyczne działanie doprowadzi wszystko do ładu.

PANNA: korzystne układy nawet w sytuacjach bardzo trudnych — wyniki zostaną dostrzeżone i docenione, licz na spore korzyści.

WAGA: jeśli nie chcesz sporo stracić, teraz musisz dostrzec zmiany i wziąć je uważnie pod uwagę — sporo satysfakcji, choć początek może być trudny.

SKORPION: czas będzie ci sprzyjał, możesz podejmować ryzykowne inicjatywy — pomyśl o czymś, co mogłoby ożywić twoje bieżące sprawy.

STRZELEC: każdy krok będzie ważny, pomyśl dobrze zanim się na coś zdecydujesz — ważny wybór kręgów, w których się będziesz teraz obracał, od tego zależy bieg interesujących cię spraw.

KOZIOROŻEC: chodź trzeźwo po ziemi, nie daj się porwać zwariowanym pomysłom, teraz nie jest na nie czas — sporo emocjonalnych komplikacji, ale dasz sobie z nimi radę.

WODNIK: sporo zajęć, musisz wszystkie dokładnie planować i pilnować, żeby jak najszybciej doprowadzić je do końca — potem uważaj, spotkasz kogoś, kto może być dla ciebie bardzo ważny.

RYBY: nierówny nastrój, brak zaufania we własne siły, nerwowość będzie przeszkadzać, ale szybko minie — nie wpadaj więc w minorowy nastrój, myśl spokojnie o nadchodzących dniach.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (127)

Pamiętnik sądeczanki

Świadkowali — brat Kornelii i Jakub Smul, kierownik szkoły w Siedlcach. Pan Smul, przystojny, szpakowaty, o przenikliwym spojrzeniu, cały czas rozmawiał z Joachimem, którego znał sprzed lat. Przyjechał na wesele z synem Władysławem, około osiemnastoletnim młodzieńcem, który uczył się w Nowym Sączu rzemiosła szewskiego u majstra Edmunda Kalarusa i parę miesięcy temu otrzymał świadectwo wyzwolin.

Władek Smul, podobny do ojca, wesołego usposobienia, tańczył ochoczo i rozbawiał młode towarzystwo. Słyszałam, jak pan Jakub Smul żalił się mężowi na niskie uposażenie nauczycieli ludowych, uniemożliwiające mu kształcenie syna. Od wielu lat nauczyciele zabiegają o podwyżki, lecz nic z ich starań nie wychodzi. Pan Jakub przepojony był żalem i z ubolewaniem patrzył na syna. Mąż pocieszał go, że w każdym zawodzie można dowieść swych umiejętności i solidności, jeśli się chce, i że każde rzemiosło jest potrzebne. Przy kieliszku zwierzył się ze swych niespełnionych pragnień pracy w drukarni i tym gorącej przekonywał pana Jakuba, żeby się nie martwił o syna.

Z rozmów z matką Kornelii, panią Geneweją, dowiedziałam się ciekawostek o Ludomirze. Syn podobno z racji radykalnych przekonań w sprawie nauczycielskiej nie jest dobrze notowany u władz szkolnych. Poruszyło mnie to, bo niesubordynacja może się stać powodem utraty posady, a teraz, gdy się ożenił, musi mieć stały kawałek chleba. Na szczęście ma pół domu przepisanego przez Walerię i nie musi wynajmować mieszkania. Synowa otrzymała ładną wyprawę, lecz gotówki raczej żadnej, nie pytaliśmy o to z delikatności, ale że nikt nic na ten temat nie mówił, więc jest pewnie goła. Trudno, nasze córki też nie dostały posagów, choć Ludomirowi lżej byłoby mieć coś na czarną godzinę.

Kiedy młodzi wirowali przy dźwiękach skrzypiec i mandoliny, usiadłam przy panu Franciszku Japole, którego znam jeszcze z czasów, gdy był kierownikiem szkoły w Podegrodziu. Ilekroć przyjeżdżał do miasta, wstępował do naszego sklepu nie tyle po zakupy, co na pogawędkę z panem Onufrym i Joachimem. Syn jego, Michał, uczy się w nowosądeckim gimnazjum i zdradza zdolności literackie. Pan Japoł chwalił się synem i przytakiwałam mu, ponieważ znam tego miłego, dobrze ułożonego chłopca. Od pana Japoła dowiedziałam się o powstałym kilka miesięcy temu stowarzyszeniu gimnazjalistów w Nowym Sączu, w którym bierze czynny udział jego syn. W połowie lat 80-tych działało w naszym gimnazjum podobne ugrupowanie patriotyczne, Kaziu należał do niego. Obecne stowarzyszenie o wydźwięku niepodległościowym działa konspiracyjnie i członkowie spotykają się z zachowaniem ostrożności w prywatnych mieszkaniach, najczęściej w kolonii kolejarskiej u Pawlików, u pana Jana Marynowskiego, notariusza, i niekiedy w Bryjowie u Japołów. Zanim młodzież może wejść w szeregi tej organizacji, odbywa okres próbny, polegający na obserwacji przez starszych kolegów. Po uznaniu kogoś za godnego wstąpienia w szeregi stowarzyszenia, składa on przysięgę wierności, podobno przy krzyżu powstańców na starym cmentarzu. Jeden z nieznanych mi nauczycieli przysłuchując się rozmowie wyraził pogląd, że podobnymi związkami powinna kierować partia socjalistyczna. Mówił tak doniosłym głosem, że wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę. Joachim zareagował porywczo, jego zdaniem partia nie ma prawa wtrącać się do uniesień młodzieży. Od tego są nauczyciele, katecheci, nie socjaliści. Nauczyciel oburzył się na Joachima, obaj podnieśli głowy i musiano ich uciszać. Na szczęście wzniesiono toast i odwrócono ich uwagę. Swoją drogą, zapytałam Justynkę czy zna Pawlików i czy zauważyła u nich zbiórki gimnazjalistów? Kolonia nie jest zbyt rozległa i taka sprawa nie może ujść oczom sąsiadów.

Kończę pisanie, bo przyszedł pan Wiktor.

Pod wieczór 31 grudnia 1900 r.

Julcia z mężem zaprosiła całą młodzież z naszej rodziny na wieczór sylwestrowy. Wprawdzie nie ma u nas zwyczaju uroczystego witania Nowego Roku, ale Anzelm bardzo za tym przemawiał i przekonał Julcię. Wybiera się Maryjka z Julkiem, Justynka z Makarym, Bogna z panem Wiktorem, Dominika, Kaziu, Stefanek, dwaj koledzy Anzelma, Kasia Blankówna. Julcia namawiała Honorkę, lecz Uryżanka odmówiła i pewnie znów spędzi schyłek

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)